



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagraniczy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Inicytywa prywatna p. W. M.—Niemcy a Germanowie p. W. Gruszeckiego.—Fotograf, szkic Alfonsa Daudet'a, przekład E. F. — Nowożytnie dramata Jezusowe p. S. Cz. — Korespondencye Prawdy: Z Petersburga, z Krakowa. — Literatura zagraniczna: John Veitch. The metod, meditations, and selections from the principles of Descartes p. L. L. — Korespondencya Talleyranda I. p. J. N. — Teatr p. S. K. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

Redaktor PRAWDY przeprosza czytelników, że zbolaty i spłakany po stracie najdroższego dziecka, które było natchnieniem jego życia, nie może w tej strasznej chwili dopełnić wszystkich obowiązków względem pisma.

INICYTYWA PRYWATNA.

Narody tak samo jak pojedyncze jednostki cierpią często z powodu uchybień i braków, nie zasługujących na nazwę win a szkodliwych w praktyce życiowej od tych ostatnich. Są właściwości nie plamiące charakteru człowieka, nie rzucające cienia na zbiorową jednostkę, które przecież wpływają ujemnie na wszystkie stosunki, stają na wspak rozwojowi, tak ekonomicznemu, jak naukowemu i zagradzają wszelką drogę postępu.

Taką szkodliwą właściwością naszą jest brak inicytywy, spuszczenie się i oczekiwanie na działanie drugich, popęd naśladowczy i nieczem nie wytłumaczona lekliwość tam, gdzie należy czynić coś na własną rękę, rzucić pomysł jaki i wykonać go samemu.

Nigdzie może zastosowanie książki Smiles'a, *Pomoc własna*, nie była tak pożądaną i nigdzie mniej nie znalazła echa. Być może, iż powodów zanegowania wszelkiej przedsiębiorczości szukać należy w ustroju całej rasy słowiańskiej, być może iż wpłynęło na to położenie kraju, przez długi czas nie dające zupełnie pola obywatelskiej działalności. Być może także, iż część winy spada tutaj na wychowanie, oparte w ogóle na rutynie, nie pobudzające inicytywy osobistej, ale przeciwnie zacierające je konwenansową niwellą, pod którą przez cały szereg pokoleń usiłuje podciągnąć wszystkie umysły.

Nad przyczynami faktu zastanowić się warto, na dziś jednak czynić tego nie zamierzamy, bo czy działa tutaj pierwsza, druga, lub trzecia z wyżej wzmiankowanych przyczyn, czy też łączą się wszystkie razem na jego wytworzenie, nie zmienia to istoty rzeczy, ani osłabia jej zgubnego wpływu na wszystkie nasze stosunki, a co najważniejsza stawia nas w coraz gorszych i trudniejszych warunkach wobec wzmagającego się ruchu we wszystkich gałęziach wiedzy i przemysłu, jaki panuje w całym ucywilizowanym świecie.

Ruch ten wymaga właśnie przymiotów, których nam braknie; jeśli więc nie zdołamy wyrobić ich w sobie, musimy być coraz bardziej zdystansowani i pominięci na każdym polu. Że tak jest, łatwo się przekonać, rzuciwszy okiem na fakta najbardziej znane.

Cudzoziemcy zagarniają u nas prawie wszystkie ważniejsze zarobki, z wielkim uszczerbkiem krajowców, którzy jednak z trudnością konkurencyą z nimi wytrzymać mogą, bo rzadko umieją stanąć w szeregu walczących o byt, lub dobić się wytrwałością pracy i chleba. Skarżymy się na rozpanoszenie obcego żywiołu, ale zapominamy o tem, że zbyt często cudzoziemiec jest lepszym wyrobnikiem lub technikiem od nas, i o tem, że na polu ekonomicznym protekcyja daje zwykle zgubne owoce, więc tam wszędzie, gdzie robotnik polski okazywał się lepszym lub tańszym od cudzoziemskiego otrzymywał nad nim pierwszeństwo.

Nie myślimy tutaj stawiać w obronie przemysłowców, którzy powodowani zawzięcią rasową chętniej dają zarobek ludzom innej narodowości, dowodzimy tylko, iż gdyby krajowcy, zamiast uskarżać się na podobne niesprawiedliwości, pracowali gorliwie i wytrwale, dobiliby się nie-

zawodnie miejsce, o jakie konkurują i potrafiliby je utrzymać.

Toż samo powiedzieć można o całym krajowym przemyśle. Jeżeli jest on przeważnie w rękach cudzoziemskich, to głównie z powodu, że pozostawiliśmy to pole w zupełnym odłogu, a dzisiaj, widząc fortunę zbudowaną na bawelnie, skórach lub fabrykach wszelkiego rodzaju, leniwo bierzemy się do naśladownictwa, albo najczęściej naśladowujemy rzecz samą, nie wchodząc w jej zasady, bez fachowego wykształcenia lub praktyki, i dlatego zdarza się często, że tam gdzie zyskiwali inni, my tracimy. Wówczas oskarżamy znowu wypadek, spółzawodników, często intrygę lub niesumienną konkurencyą, zapominając, że inni mają też same trudności do zwalczenia a przecież umieją wyjść z nich zwycięzko.

Brak nam tutaj jak wszędzie tej inicytywy indywidualnej, która rozpatruje gruntownie położenie, zastanawia się i obrachowuje, ażeby działać stosownie do okoliczności. Ruch przemysłowy, jakiemu po większej części ulegamy, niema nic samoistnego, jest objawem naśladownictwa i dlatego często bardzo nie przynosi pożądaných skutków.

Skarżymy się, że giniemy dla braku kapitału, i prawda, iż pod tym względem kraj nasz uboższym jest od wielu innych, że są przyczyny lokalne, stojące na przeszkodzie wytwarzaniu się takowego. Przecież zaznaczyć trzeba, iż wielkie zakłady przemysłowe najczęściej rozpoczynały się od małych zawiązków, a wzrastały powoli wytrwałością i pracą założycieli, którzy nie ustawali w usiłowaniach, ale wyszukiwali wszelkich sposobów zaprowadzenia ulepszeń i oszczędności.

Jeśli zaś powołamy się na kredyt, jaki zwykle posiadają cudzoziemcy, to przekonamy się znowu, że kredyt opiera się na moralnym kapitale zaufania i że wady za-

równy jak i przymioty nasze sprzeciwiają się nieraz uzyskaniu tego kapitału, którym przecież jedynie w braku własnego, ratowaćbyśmy się mogli.

Toż samo powiedzieć musimy o wszystkich innych wypadkach i trudnościach, mnożących się z dniem każdym, w których działałaby mogła inicjatywa prywatna. Co koniec sierpnia powtarzają się bolesne sceny, poży rozpoczynania roku szkolnego z powodu braku miejsca w gimnazjach dla wzrastającej liczby żądających w nich pomieszczenia. Wiemy, iż złożony potrzebny fundusz i zrobiwszy właściwe urzędowe kroki, możnaby uzyskać pomnożenie liczby zakładów naukowych, ale tutaj trzebaby właśnie inicjatywy czyjejs, a przed tą każdy się cofa. Nie jeden poniósłby chętnie ofiarę pieniężną; pod tym względem jesteśmy często hojni nad możność, ale tam, gdzie idzie o staranie, o pracę, a nadewszystko o wyjście po za koło rutynicznych czynności, tam cofamy się lekliwie, i oglądając się jedni na drugich, często lata całe trawimy w bezczynności w obce wzrastających potrzeb.

Nie będziemy tutaj rozbierać wszystkich wypadków, w których przynosimy samym sobie tym sposobem nie obrachowane szkody, zaznaczamy główne i wszystkim znane fakta, bo widzimy w nich źródło bardzo wielu, jeśli nie wszystkich klęsk, jakie kraj nasz trapią.

Daremnie składalibyśmy za okoliczności ujemne strony charakteru, jakie się w nas wyrobiły, bo jakiekolwiek byłyby ich powody, skutki spadają na nas i przed odpowiedzialnością za nie uchylić się nie jesteśmy w stanie. Jedno z dwojga więc, albo przez skutki te coraz bardziej gnębieni, będziemy powoli zmuszeni ustępować miejsca żywotniejszemu pierwiastkowi, albo też, obrachowawszy się z sobą, starać się będziemy w sobie samych i we wzrastających pokoleniach wyrobić warunki, na jakich nam zbywa i zająć należne sobie miejsce.

Wierzmy bowiem, że narody stokroć więcej niż jednostki los swój dzierżą we własnych rękach, gdyż nie są skrepowane czasem, nie są ścigane widmem śmierci, mogą więc działania swoje obrachowywać na lata i wieki, a jeśli kładną się w grób

to dlatego tylko, że żyć nie umiały lub nie chciały.

Historja zresztą poucza, iż grób nie istnieje dla tych, co posiadały indywidualność i świadomość siebie.

Nie sięgając jednak do podobnych zagadnień, pragnęlibyśmy wpoić w ogół przekonanie, że mniej lub więcej w danej chwili zawsze coś dla dobra ogółu uczynić można, że w społeczeństwie naszym jest pełno miejsc niezajętych i pełno prac niespełnionych, które oczekują na ludzi dobrej woli, że jakakolwiek jest nasza dola, zawsze łatwiej i pożyteczniej szukać winy w nas samych niż po za nami, gdyż pierwsze, jesteśmy mocni poprawić, a drugie leżą po za granicami naszej możliwości.

Ale na to potrzeba przedewszystkiem wyjść z zaczarowanego koła rutyny, mieć odwagę własnych przekonań, i nie lękać się uczynić tego, czego nie czyniono dotąd, co nie jest usankcjonowane obyczajem powszechnym, jednym słowem zdobyć się na inicjatywę samoistnego działania.

Jeśli zaś pod względem dobrobytu i pomysłności powszechnej wyrobienie przymiotów, na których nam zbywa okazało się pożytecznym, o ileż więcej jeszcze byłoby ono dobroczynne w stosunkach prywatnych, o ile życie każdej jednostki byłoby łatwiejsze, jeżeliby zamiast spuszczać się i oglądać na drugich jednostka ta rachowała na siebie samą. Gdybyśmy byli w stanie zbadać przyczyny katastrof, które tak często rujnują byt rodzin i doprowadzają ludzi do samobójstwa lub zupełnego moralnego upadku, niezawodnie w wielu razach spotkalibyśmy się z brakiem inicjatywy i niezaradnością, jaka się z tego powodu wyrabia.

Z czynnych zaś energicznych i pracowitych jednostek składają się żywotne społeczeństwa; dobrobyt osobisty wyrabia bogactwo kraju a w dzisiejszych stosunkach kraj zacofany pod względem ekonomicznym musi cierpieć na każdym innym polu. Są to elementarne prawdy, które jednak nieustannie powtarzać musimy wobec zastoju i apatii, jaka nas otacza, a przeciw której powołujemy do walki wszystkich ludzi miłujących własne społeczeństwo.

W. M.

NIEMCY A GERMANOWIE.

Kwestya Germanii Tacyta wywołuje od dłuższego czasu gorące spory pomiędzy uczonymi; z jednej strony występują obrońcy z p. Lindenschmit'em na czele, głosząc *orbi et urbi*, że Germania tacytowska jest etnograficznym pojęciem, że zatem siedliska dawnych germanów a dzisiejszych Niemców sięgały daleko na wschód i zachód i obejmowały całą środkową Europę. Na poparcie swej tezy sięgnęli najpierw do grobów, a ceramika wykopaliskowa miała poprzeć dowodami ich literackie teorie. Dokumenta, wydobyte z prastarych mogił, rzuciły nowe a bardzo dla nich niemiłe światło na mroczne dzieje ludów europejskich, okazały bowiem dowodnie, że popielnice słowiańskie czyli t. z. lausitzer Typus sięga daleko po za lewy brzeg Łaby do Stade, następnie Holsztyn i Meklemburgia roją się od cmentarzyk przepelnionych ceramiką anti-germańską, że wymienimy główniejsze jak Werle, Friedrichsruhe, Vipperow, Krakow i t. d., których ceramikę uznano jako obotrycką i wendyjską. Nie jest to naszą zasługą, że przyznano słowianom owe grobowce i kurhany, sami bowiem Niemcy badając troskliwie dzisiejsze swe posiadłości i porównując te wykopaliska ze swemi t. z. Kesselurnen (typ germański) uznali zdobytą ceramikę jako słowiańską, wypadł zatem z rąk Lindenschmita oręż a nawet zwrócił się przeciw jego teorii. Wielką w tym względzie zasługę położyli i angielscy badacze jak I. M. Kemble i dr. Latham, którzy pierwsi zwrócili się przeciw uroszczeniom niemieckim, stonowcze jednak rozstrzygnięcie tej zawiłej sprawy zawdzięczamy znakomitemu badaczowi Rudolfowi Virchow'owi.

Nie zasypiano także sprawy na drodze historyczno-literackiej, roztrząsając i rozświetlając Germanią Tacyta — u nas prócz prac W. Maciejewskiego posiadamy cenną w tym kierunku książkę dr. W. Kętrzyńskiego: *Die Lygier ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven*, całą zaś literaturę tak niemiecką jak i polską zebrał samienie dr. Sieniawski w swej najnowszej pracy *Zarys dziejów słowian zachodnich*.

Te spory i wzajemne pretensje nie ustały po dziś dzień, zaogniły się raczej tak, że np. dr. Marschall nie wahał się w naukowej pracy nazwać prawe porzecze Wisły: *Der nordöstliche Winkel Deutschland*, a w pokrywie popielnicy widzieć prototyp pickelhauby.

Gdy się jednak bronił dotychczasowa, t. j. wykopaliska tak ceramiczne jak i bronzowe

FOTOGRAF.

Szkic Alfonsa Daudet'a,
przekład E. H.

Ponieważ ich gospodarstwo bardzo szczupłe było na pozór, a meble wszystkie zmieścić by się były mogły w małym wózku ręcznym, gospodarz wymagał zapłaty za mieszkanie z góry. Wprowadzili się do świeżo wykończającego się domu, na piąte piętro, na jednym z tych nowo założonych bulwarów, nie doprowadzonych jeszcze do porządku, gdzie było pełno gruzów, napisów na tablicach, placów pustych, ogrodzonych deskami. W ich małym mieszkanku, złożonym z trzech szczupłych pokoiów czuć mocny zapach świeżej farby, jasno w nich bardzo; przy tym blasku widoczniej jeszcze nagie odbijają mury. Najprzód jest

pracownia z oszkleniem wielkości klosza od melonu, kominek pruski ciemny i zimny, na nim trochę kokсового węgla, który się zapali wtedy dopiero, gdy nadejdą goście.

Fotografie całej rodziny wiszą na ścianie: ojciec, matka, troje dzieci, w pozycji siedzącej, stojącej w grupie, oddzielnie, — najrozmaiciej; potem kilka gmachów publicznych i pomników, kilka widoków wiejskich w blasku słonecznym. Pochodzi to z czasów gdy byli bogaci, a ojciec bawił się fotografią dla własnej przyjemności. Teraz nadeszła ruina, nie mając innego rzemiosła pod ręką, próbuje wytworzyć je sobie z tej niegdyś rozrywki niedzielnej.

Aparat, który dzieci otaczają z zachwytem, połączonym z obawą, zajmuje honorowe miejsce na środku pracowni; w tych nowych miedzianych, błyszczących przyrządach, w tych szklach wypukłych i jasnym, skoncentrowany cały zbytek, cała wspałałość ubogiego, małego mieszkanka. Inne sprzęty stare, połamane, zużyte, a tak ich niewiele! Matka ubrana w starą suknię czarną jedwabną, pocerowaną, na głowie ma kawałek koronki, stara się wyglądać

jak dama sklepowa, a tu nikt się nie zjawia. Ojciec za to zdobył się na piękną, czapkę i l'artiste, i aksamitny surducik, żeby na mieszczańskich dobre sprawić wrażenie. W tym nieodpowiednim stroju, z dużym wyłysiałem czołem, z dobrodusznym, zadziwionym spojrzeniem, pełen złudzeń, ma minę równie świeżą jak jego aparat. A jak się biedak krząta! Jak swój fach bierze na seryo! Posłuchać tylko jak mówi do dzieci: „Nie wchodźcie do ciemnego pokoju.“ Ciemny pokój! pomyślałby kto, że to jaskinia Sybilli... W duszy jednak nieszczęśliwy niezmiernie jest pomieszany. Po zapłaceniu za komorne, węgiel, drzewo, nie zostało mu ani szeląga w kasie. Jeśli się nie zjawia klienci, jeśli szafka z fotografiami, zawieszona na wystawie, nie ściągnie nikogo przechodzącego, cóż dzieciaki będą jadły na wieczerek?... Ha, niech się dzieje co chce! Wszystko już ustawione na miejscu, oczyszczone, aż się błyszczy. Teraz wszystko zależy od przechodniów.

Chwile oczekiwania i udręczeń. Ojciec, matka, dzieci, wszyscy są na balkonie, przypatrują się, czatują. Cóż u licha! wśród ta-

we, kształt grobów, mogił i cmentarzysk wreszcie historyczno-literacki materiał; gdy się ta broń stępiła lub wypadła z rąk obrońców dawnego zapatrywania się na osiedlenia i rozciągłość typu niemieckiego w środkowej Europie—poszukano nowych dowodów na poparcie swych teorii, a użyto w tym celu materiału osteologicznego i etnologicznego, zbieranego starannie w ostatnich trzech dziesiątkach lat.

Nie od rzeczy będzie podać chociażby w lekkich konturach rozwój tych badań, które dziś stanowią poważny materiał służący do rozstrzygnięcia kwestii ras i narodów. Do roku 1858 w Anglii a 1859 we Francji cały świat uczony był przekonany, że człowiek nie istniał równocześnie z zaginionymi zwierzętami, jako to z mamutem, wełnistym nosorożcem, hyeną plamistą itd. Nawet tak znakomity badacz jak dr. Buckland autor dzieła: *Reliquiae diluvianae* głosił, że współczesność człowieka jest bezzasadną mrzonką; i dopiero ściśle zbadanie jaskini w Kent przez I. Enery'ego, a następnie jaskini w Brivham skłoniło Royal Society na posiedzeniu pod przewodnictwem Pengellysa w r. 1858 do oświadczenia się za współczesnością człowieka z zaginionymi zwierzętami. We Francji pomnikowe dzieło Cuviera *Ossements fossiles* zachęciło innych badaczy do poszukiwań a zwłaszcza usiłowania Roucher de Perthes w Abbeville, a dr. Bigollot w Amiens spowodowały, że w r. 1859 przyjęto we Francji zasadę współrzędności człowieka z zaginionymi zwierzętami.

Począwszy od tego czasu, poszukiwania jaskiniowe i osteologiczne weszły na drogę naukową a systematycznemu badaniu tychże poświęciło się wielu znakomitych uczonych a niemniej i zakładane towarzystwa antropologiczno-archeologiczne przyniosły znaczący korzyść.

Gorączkowe zajęcie się tego rodzaju wykopaliskami i naturalna dążność do dojścia do dodatnich rezultatów, były powodem, że z maleją liczbą czaszek wyciągano wnioski ogólne i w ten sposób uznano prawie powszechnie, że człowiek jaskiniowy należy do typu mongolskiego (mongoloider Typus), które to zapatrywanie można po dziś dzień w wielu poważnych dziełach napotkać, dopiero ściśle pomiary Virchowa wykazały, że czaszki te należą do rozmaitych typów, a tem samem poprzednia teoria jest fałszywą (artykuł Virchowa *Archiv für Anthropologie* Bnd. VI § 85).

Szczupły materiał wykopalisk jaskiniowych nie nadaje się przynajmniej dotychczas do stawiania wniosków uogólniających, a co do kwestii istnienia człowieka w trzeciorzędnej epoce (Tertiärmensch) najnowsze dzieło N. Joly'ego (*Der Mensch von*

der Zeit der Mettale Leipzig 1880) dotychczasowo dowody uznaje za niedostateczne.

W ostatnich dziesiątkach lat wzrósł znakomicie materiał osteologiczny wydobyty z grobów czasów względnie nam bliższych; spotykane obok kości przedmioty dają niemyłne dane co do epoki a względnie i co do narodowości, otóż obecnie mamy dwa nowe dzieła opierające się na zdobytym materiale, Lindeschmita redaktora pomnikowego wydawnictwa *Alterthümer unserer heidnischen Vorzeit*, który w swem dziele *Handbuch der deutschen Alterthums-kunde Braunschweig 1880*, stawia nową teorię odnoszącą się do kwestii Niemców i Germanów; a tenże sam przedmiot traktuje również profesor Kollmann z Bazylei, lecz z odmiennego zupełnie punktu widzenia (*Archiv für Anthropologie* Bnd. XIII).

Lindenschmit, zastanawiając się nad początkami Germanów, uważa dotychczasową nazwę i pojęcie aryów, jako bardzo chwiejne i nie wytrzymujące krytyki, wędrowka plemion aryjskich z Azji nie ma podstaw naukowych i sądzi, że Germanowie rozwijali się w swej dzisiejszej ojczyźnie i tu można śledzić ich początki, idąc wstecz aż do grobów najstarszej epoki a nawet wykopalisk jaskiniowych. Zdaniem Lindenschmita, który wraz z Eckerem specjalnie zajmował się wykopaliskami z czasów alemańsko-frankińskich, typem Germanów jest czaszka dolichocephaliczna, bowiem takie przeważają w wykopaliskach alem-frank., zatem czaszki, które nie należą do dolichocephalicznych należy odrzucić jako niegermańskie. Uznając niezmiennność typu, szuka Lindenschmit tych samych cech u dzisiejszych Niemców jakie niegdyś jego zdaniem odznaczały czaszki Alemanów i Franków, a spotkawszy takie typy w przeważnej ilości u któregośkolwiek z ludów osiadłych w środkowej Europie poczytuje go za niemiecki, albo widzi w ludzie przewagę pierwiastku niemieckiego czyli według Lindenschmita germańskiego.

Prof. Kollmann znany pracownik na polu fizycznej antropologii nie spostrzega wybitnego typu w epoce alemańsko-frankińskiej, a jego wymiary wskazują, że przyjęty przez Lindenschmita typ dolichocephaliczny zajmuje tylko 43% czaszek znalezionych, większa część należy do kształtów mieszanych czyli mesocephalicznych przechylających się ku brachycephalicznym. Rozpatrując się w środkowej Europie p. K. widzi wszędzie przewagę typów mieszanych, który to fakt tłumaczy zmieszaniem ras, bowiem z zasady uznaje wprawdzie niezmiennność typu, ale ona ustępuje pod wpływem zmieszania krwi. Wobec tych danych nie można mówić o prototypie w Niemczech, jak to chce Lindenschmit a przed nim Quatrefages, który w „Race

prusienne“ czysty typ niemiecki widzi, w południowych Niemczech zaś posuwając się ku północy typowy charakter się zmienia następuje bowiem jego zdaniem przewaga krwi fińskiej.

Tak stała kwestya w ogólnych zarysach, gdy przyszła pod obrady Tow. Berlińskiego dla antropologii, etnologii i archeologii w bieżącym roku. Znany badacz Rudolf Virchow w następujący sposób ją rozstrzygnął (*Sprawozdania z posiedzeń powyższego Towarzystwa z r. 1881*, str. 68).

Jak wykazują statystyczne dane zebrane staraniem tegoż Tow. czysty typ niemiecki, jakim go chce mieć Lindenschmit, jest rzadkością tam, gdzie każdy by go szukał a mianowicie na zachodzie i południu Niemiec, tak że o jakiejś wspólności z wykopaliskami frankińskimi i alemańskimi mowy być nie może. Posuwając się jednak ku morzu północnemu, widzimy stanowczą przewagę blondynów, rosłych i muskularnych postaci, a co więcej kształt czaszek staje się względnie podobnym do „germańskich.“ I gdy na południu przeważa typ krótkogłowy, a idąc ku północy mieszany, to w Holsztynie, Schleswigu i wzdłuż morza bałtyckiego mamy typ długogłowy.

Tę wybitną przewagę blondynów tłumaczy Kollmann w ten sposób, że Słowianie są również blondynami, odróżniają się jedynie od Niemców barwą oczu, a mianowicie Słowianie mają ciemne oczy, zaś Niemcy niebieskie, zatem znaczniejsza ilość blond typów na północy powstała ze zjednoczenia dwu ras blond, germańskiej i słowiańskiej, a to podwójne blond wywołało wyższą przewagę. Jeśli się zwrócimy do dawnych pisarzy, którzy byli bliżsi czasom istnienia rzekomego typu, to zdefiniowanie Słowian pod tym względem nasuwa znaczne trudności. Są rzeczywiście pisarze, którzy Słowian jako blondynów opisują; nawet *πῶντοι* nazywają się u Herodota Budynowie, należący prawdopodobnie do Słowian. Lecz z drugiej strony mniemanie to i określenie nie jest regułą i tak mamy n. p. bardzo ciekawe sprawozdanie Ibrahima ibn Jakuba, kupca przebywającego na dworze cesarza Ottona I w Merseburgu właśnie w tym czasie, gdy cesarz przyjmował deputację bułgarską, który to szczegół posłużył p. Wiggerowi do oznaczenia daty pobytu na r. 973. Z Merseburga udał się Ibrahim do Czech. W swym opisie kraju i ludzi mówi wyraźnie o „dziwnem zjawisku“, iż w Czechach przeważa ciemna barwa skóry i włosów. Tego samego wrażenia doznaje każdy, który i w naszych czasach do Czech przyjeżdża, a przewaga ta brunetów występuje najsilniej w okolicach, których ludność najmniej ucierpiała od napływu niemieckiego.

kiego tłumu przechodniów znajdzie się przecie choć jeden amator... Tymczasem, jak na przekór,—nie.

Tłum płynie w tę i w ową stronę po chodniku; nikt się jednak nie zatrzymuje. No, przecie. Jakiś pan zbliża się do wystawy. Przypatruje się portretem, przygląda się każdemu z kolei; minę ma zadowoloną, wejdzie. Dzieci zachwyte chcą już rozpałać ogień na kominku.

— Zaczekajmy jeszcze,—radzi rozsądnie matka.

Ach, nie omyliło ją przecucie! Jego—mość idzie sobie dalej, oglądając z nudów sklepy i wystawy. Pierwsza, druga... Coś się ściemniać zaczyna, na niebie pojawiają się ciemne chmury. Jednak na piątym piętrze można by jeszcze zrobić doskonałe fotografie. Na cóż się to zdało, jeśli nikt nie przychodzi? Co chwila wzruszenia nowe, zawiedzione nadzieje, kroki rozlegające się na schodach, tuż, tuż przy drzwiach, które się nagle oddalają. Raz nawet zadzwoniono. Ktoś się pyta o dawnego lokatora. Wszyscy mają wyciągnięte twarze, nawet lży w oczach.

— Toniepodobna—mówi ojciec...—Chyba ktoś zdjął szafkę naszą z wystawy... idźno zobacz, mały...

Po chwili chłopczyzna wraca zmieszany. — Szafka jest na miejscu, lecz nikt na nią nie zważa, jakby jej nie było.

Zresztą, deszcz pada... W rzeczy samej, krople deszczu zaczynają uderzać w szyby pracowni. Na bulwarze aż czarno od parasoli. Wszyscy z balkonu wracają do pokoju; zamykają okno. Dzieciom zimno; nikt jednak nie śmie zapalić na kominku ostatniej garstki węgla. Trwoga ogólna. Ojciec chodzi wielkimi krokami, zaciskając pięści. Matka kryje się w ciemnym kącie, żeby inni jej łez nie widzieli... W tem jedno z dzieci, które wybiegło na balkon korzystając z tego, że się na chwilę niebo rozjaśniło, puka żywo w szybę.

— Ojciec, ojciec... jest ktoś na dole przy wystawie.

— Prawda. Jest jakaś pani, bardzo przyzwyczajona, doprawdy! Przypatruje się fotografiom, waha się, podnosi głowę...

Ach! jeśli by te wszystkie oczy, wpatrzone

w nią z góry, posiadały siłę magnetyczną, jakże by co tchu pobiegła po schodach... Nakoniec dama powzięła postanowienie. Wechodzi, idzie na górę. Otóż i ona. Żywo zapalę do ognia, dziatwa na bok, do pokoiku. Ojciec poprawia czapeczkę, matka rzuca się ku drzwiom, otwiera wrzuszona, uśmiechnięta, szeleszcząc skromnie starą jedwabną suknią.

— Tak, łaskawa pani, to tutaj...—Podają jej krzesło z największą uprzejmością. Jest to osoba z południowych stron, trochę gadatliwa, ale bardzo dobra, a wcale się nie droży ze swoją osobą. Pierwsza próba się nie udała. No, mniejsza o to, można jeszcze raz spróbować! Wielkie rzeczy!... I bez najmniejszego niezadowolnienia, grzeczna dama siada znowu, opiera łokieć na stół, a na dłoni brodę. Fotograf układa malowniczo fałdy sukni, wyrównywa szarfy od czapeczki, a z za drzwi oszklonych słysząc przytłumione dziecinne śmiechy i popychania. Dzieciaki potracają się nawzajem, bo chcą widzieć jak ojciec wsuwa głowę pod sukno zielone, okrywające przyrząd i stoi tak nieruchomy, jak straszne

Ten typ brunetów napotykamy i u południowych słowian: słowacy i słowianie w Węgrzech są przeważnie ciemnowłosy. Nie możemy tedy przyznać słuszności wywodom Kollmanna, ale zarówno mylnym byłby wniosek, że wszyscy słowianie są brunetami, gdyż są nimi czesi, słowacy i węgry-słowianie. Na północy spotykamy to ciekawe zjawisko, że każde z głównych plemion lub ras jest reprezentowane przez dwa odcienia. Nietylko w Niemczech widzimy blondynów i brunetów obok siebie, lecz i słowianie dzielą się na te dwie kategorie, a co dziwniejsza, że i finowie, a mianowicie w ten sposób, że właściwi finowie są lniano-blond, zaś lapończycy są silnymi brunetami a blondyni należą u nich do wyjątków. Zatem u pokolenia, którego wspólne pochodzenie nie ulega żadnej wątpliwości, mamy u jednych wybitny typ blond, u drugich ciemny (*Sprawozdanie z posiedzeń Tow. 1874, str. 188*).

Zdaniem więc Virchowa nie ma dostatecznych dowodów teorya, by charakterystyczną cechą ludów było zabarwienie włosów i mimo zgodności opisów dawnych pisarzy nie można wnioskować, by włosy blond decydowały o germanskim pochodzeniu.

Podobna niepewność panuje i w kwestyi osteologicznej a właściwie craniologicznej. Bruneci są przeważnie krótkogłowi, co się w Niemczech wzmagą posuwając się ku południowi, zaś u finów stosunek jest wprost przeciwny. Lapończycy są krótkogłowi, finowie i estowie mieszanymi (mesocephal). W północnych Niemczech przeważają mieszanini, skłaniając się ku długogłowym, zaś w południowych prowincjach większość jest krótkogłowa. Toż samo można powiedzieć o innych ludach środkowej Europy. We Francyi panuje podobny stosunek, a wiadomą jest rzeczą, że najpierwsi badacze zgadzają się już na to, że Keltowie, składają się właściwie z dwu szczepów, południowego i północnego, które pierwotnie nie z sobą wspólnego nie miały i których jeszcze Polybius dzieli na Keltów i Galatów. Wskazując na tę różnicę, konstatujemy fakt, że podobne zjawiska spotykamy na całym obszarze środkowej Europy, i że kwestya ta nie da się rozstrzygnąć gołosłownym twierdzeniem, że ten lub ów naród posiada taki lub inny typ.

O keltach i galateach nikt na pewno powiedzieć nie może skąd przybyli krótkogłowi keltowie. Ponieważ przeważnie spotykamy ich na południu, zatem należałoby sądzić, że przybyli z południa, lecz nad morzem śródziemnym, na brzegach Afryki, Hiszpanii, Włoch i Grecyi typ krótkogłowy jest wyjątkiem. Virchow zatem jest zdania, że *typ krótkogłowy jest wspólną cha-*

rakterystyką wszystkich ludów, które niegdyś zajmowały górzyste okolice środkowej Europy.

Wojciech Gruszecki.

(Dokończenie nastąpi).

NOWOŻYTNE DRAMATA JEZUSOWE.

Jeden z najświeższych numerów znakomitego miesięcznika niemieckiego zawiera artykuł Rudolfa Gottschalla, który w streszczeniu poniżej podajemy.

Przedstawienia pasyjne Oberammgauskie wskrzesiły pamięć niemieckiej dramatyki pasyjnej i hiszpańskich „autos sacramentales.“ Postawiono nawet pytanie, czy życia Jezusa nie przenieść z alpejskiej sceny ludowej na scenę artystyczną współczesną, aby je tam z najidealniejszej strony jego odtworzyć. Kościół katolicki zawsze popierał przedstawienia pasyjne; kościół protestancki również uważał je za „żywy obraz“ podań Ewangelii.

Historya męki Jezusa była już dawno przedmiotem utworów dramatycznych. Dość przytoczyć pierwszą tragedję chrześcijańską: „Christos Paschon,“ której autorem przypuszczalnym jest Grzegorz z Nazyanzu. Utwór ten trzymany jest w stylu tragedji greckiej i jest wybornym dramatem z wytworną retoryką. Eurypides był pierwowzorem autora. Ma on jedynie tylko ducha wiary wspólnego z przedstawieniami pasyjnymi. Od owego czasu t. j. od IV wieku po Chrystusie aż do naszych czasów, dramatyka Chrystusowa snuje się jak nieć czerwona przez dzieje teatru. Epopeja Jezusowa w poezyi kunsztownej uwydatniła się kulminacyjnie w utworze „Messyada.“

W nowszych czasach zwrócono się znów do dramatyki Jezusowej, a niektórzy autorowie nie cofają się nawet przed myślą wystawiania utworów tego rodzaju na scenie. Głośne przedstawienia pasyjne w Oberammgau dały popęd ku temu.

Nasza jednak scena świecka sama przez się nie jest przydatną do przedstawień tego rodzaju. Farsy i wodewile grają na niej tak przeważną rolę, że poważna muza tragiczna, zwłaszcza w rodzaju powyższym, musi od niej stronić. Dramat Jezusowy oświetlony temi samymi lampionami, które wczoraj rzucały światło na kankana orgyi paryskiej, byłby zbyt wielką psychiczną anomalią.

Cóż więc uczynić winien teatr aby mógł na deskach swych przedstawiać poważne sceny Chrystusowej tragedji? Próbowano by przedstawienia te dawać w Wielki tydzień, gdy zwykłe przedstawienia ulegają

przerwie. Inni chcieli usunąć jaskrawość dekoracyj i powrócić specjalnie w tym celu do prostoty sceny Szekspirowskiej, aby przez samą stronę zewnętrzną stosowny nastrój myśli wywołać. Inni jeszcze chcieli przedstawienia te odbywać nie w teatrach lecz w osobnych salach, dających pomieszczenie licznemu audytorjum. Słowem pod względem technicznym nie znaleziono dotąd gruntu dla owej dramatyki.

I pod duchowym względem brak dziś owej naiwnej wiary w podania religijne. Ortodoksi znów byliby niezadowolnieni z racjonalnego i artystycznego traktowania przedmiotu, któreby ich sprowadzało do ziemskiego widzenia rzeczy. Na straży prawdy dramatyki Jezusowej musieliby stać nie autor „Messjady“ lecz Paulus, Strauss i Renan, nowoczesna bowiem dramatyka znać może tylko człowieka, nie zaś Boga-człowieka Jezusa, a dramat jego dziejów musiałby spotkać los włoskiego dramatu *Jezus Chrystus* Feliksa Goveau, który, uzyskawszy przychylne przyjęcie swego utworu ze strony dyrektora teatru i prefekta Medyolanu, nie mógł go przedstawić z powodu rozpaczliwych wrzasków księży.

Pierwotnie wielkie uznanie ze strony władzy państwowej i publiki, a następnie zakaz z powodu wrzawy augurów, oto zwykły los prawie wszystkich dramatów Jezusowych.

Co się tyczy ich poetycznej wartości, z nowszych utworów tego rodzaju prócz Feliksa Goveau *Jezus Chrystus*, zasługuje na uwagę jeszcze Alberta Dulka *Jezus der Christ*, Elizy Schmidt *Judas Ischarioth* i hr. Rehbindera *Jesus von Nasareth*. Co do treści najbogatszym jest dramat Alberta Dulka. Można by go nazwać symfonią ewangeliczną; prowadzi on nas przez szereg scen, namalowanych wedle podań biblijnych, sięgając głęboko, podczas gdy inni dramatycy ograniczają się na przedstawieniu tragedji męki Chrystusa.

Pierwszem pytaniem we wszelkim dramacie Jezusowym jest sam charakter bohatera. Czy Jezus bez nadania mu charakteru przechodzącej ludzkie pojęcie boskości jest bohaterem dramatycznym? Tylko Elza Schmidt nie zrobiła z Jezusa takiego bohatera; zjawia się on w jej utworze jako postać świetlana, jako kontrast Judasza Iskarioty, który u niej stanowi główny punkt ciężkości. Przeciwnie Dulka, Goveau i Rehbindera samego Zbawiciela wzięli za bohatera tytułowego swych dramatów.

Daleki od wszelkiej poziomej retoryki, jaką Eliza Schmidt zastosowała do postaci Zbawiciela, Albert Dulka bohatera dramatu swego, Jezusa Chrystusa, przedstawił w takiej pełni natchnienia poetycznego, że wyniósł go o całe niebo wyżej ponad podania

zwierzę z Apokalipsy, z dużem szklannem okiem. O! kiedy wyrosną, wszyscy zostaną fotografami... Nakoniec próba udaje się wybornie, artysta wynosi ją w tryumfie, woda się z niej sączy na posadzkę, ale któż na to zważa? W tych plamach czarnych i białych pani poznaje podobieństwo swoich rysów, staluje dwanaście kartek płaci za nie z góry i wychodzi zachwycona...

Odeszła, drzwi za nią zamknięto. Niech żyje radość. Dzieci wypuszczone z zamknięcia tańczą w kolo aparatu. Ojciec wzruszony bardzo tym pierwszym utworem, uwieńczonym pomyślnym skutkiem, ociera sobie czoło z powagą; ponieważ dzień ma się ku schyłkowi, matka idzie żywo po obiad, dobry, smaczny, nadzwyczajny obiad, a także — ponieważ wszystko robić trzeba porządnie — przynosi dużą księgę rachunkową w zielonej oprawie, w której się zapisuje starannie data obstalunku, nazwisko damy z południa i cyfra przychodu: dwanaście franków! Prawdę mówiąc, że pasztet, butelka Lafitu, na uczczenie dnia tak uroczystego, niewielki zapas opaku, cukru, świec, słowem jednorazowy

wydatek wynosi tyle właśnie co przychód. Ale, ba! jeśli dziś, w dzień dżdżysty, zaraz po przenosinach zarobiło się dwanaście franków, ileż to się jutro zbierze? I tak, cały wieczór schodzi na robieniu projektów. Trudno dać wiarę ile marzeń zmieścić się może w malutkim mieszkanku, złożonym z trzech pokojów, na piątym piętrze od frontu...

Nazajutrz, pogoda cudowna, i ani żywej duszy. Ani jednego klienta przez dzień cały. Ha, cóż począć? Handel to ryzyko. Zresztą, zostało jeszcze od wczoraj trochę pasztetu, dzieci kładą się spać nie bardzo głodne. Trzeciego dnia, nic jeszcze. Wycekiwania na balkonie trwają nieustannie, lecz bezskutecznie. Dama z południa wstępuje po tuzin swoich kartek; nikt się nie zjawia więcej. Tego dnia wieczorem trzeba było zastawić jeden materac, na kupno chleba... Dwa, trzy dni podobne mają jeszcze. Teraz już prawdziwa nastaje nędza. Nieszczęśliwy fotograf sprzedał swoją aksamitną czapeczkę i płócienną bluzę; zostaje mu już tylko sprzedać aparat i przyjąć miejsce subiekta w jakim magazynie. Ma-

tka się dręczy, dzieci zniechęcone nie wychodzą już nawet na balkon.

W tem, w sobotę wieczorem, w chwili gdy sienniczego podobnego nie spodziewają, słychać dzwonek. Wesele, całe grono weselne weszło aż na piąte piętro, żeby się fotografować. Pan młody, panna młoda, družba i drużna, pocześciwi ludziska, którzy raz w życiu włożyli rękawiczki i chodzi im o to bardzo, aby wypadek tak wielkiej wagi uwiecznić na pamiątkę. Fotograf w tym jednym dniu zarabia trzydzieści sześć franków. Nazajutrz dwa razy tyle. Basta! Fotograficzny zakład wchodzi w sławę... Oto jeden z tysiącznych dramatów drobnego paryskiego przemysłu.

i ciasną sferę biblijną. U Elizy Schmidt występuje Jezus z całą naiwnością biblijnej wielkości bez żadnego komentarza sceptycznego, ani usiłowań objaśnienia; u Alberta Dulka postać bohatera przestaje być zagadkową fantasmagorią i zrozumiałą ruch jej każdy, wszelki mistycyzm usunięty na bok, a cudowność biblijną zastępuje wysoki nastrój poetyczny.

W *Jezusie Chrystusie* Feliksa Goveau bohater występuje najczęściej ze słowem biblijnym, lecz w silnym rozumowym oświeceniu. U Goveau niema ani śladu mistycyzmu, podobnie jak u Dulka, niema żadnej tajemniczości nawet poetycznej i psychologicznej. Jako uzdrowiciel ślepego każe Jezus młodzieńcowi podać sobie igłę, aby dokonać staranną operację oka; zda się, że jesteś w klinice. Jako kusiciel Zbawiciela nie występuje szatan, lecz ksiądz, kapłan Hanna, który usiłuje go pociągnąć na usługi teokracji i jej pretensji do władania światem. Wreszcie w scenie z Maryą Magdaleną czysto ludzkie cierpienie kobiety przedstawione jest z całą ekspresją. Utwór Dulka przejęty jest duchem walki z księżmi, dążącymi do owładnięcia światem. Według przedstawienia Goveau Jezus jest synem kapłana. „Marya matka twoja — mówi kapłan Hanna, — była jako dziewczę służebnicą świątyni, połączyliśmy ją z Józefem i ukazaliśmy się jej we śnie i rzekli: iż porodzi syna z Ducha świętego, syna Najwyższego i że Bóg da mu tron Dawida.”

W dramacie Goveau występuje niemniej wybitnie i racjonalnie kwestya stosunku kościoła do państwa. Autor zapatruje się nań jak włoch z czasów Wiktora Emanuela. „Jesteście wrogami kościoła” — mówi Jezus do księży. W dramacie tym autor przeciwstawia chrześcijaństwo Piotrowe, dążące do panowania nad światem — Janowemu. „Jednajmy prozelitów, — mówi Piotr — abyśmy wlegiony urosli i byli potężni, a śmierć jego będzie pomszczona i my będziemy panować na ziemi.” Magdalena, której autor czyni zaszczyt wypowiedzenia ostatecznego epilogu, odpowiada: „O Piotrze, jeżeli teraz gdy Jezus zaledwie skonał, tak słowa jego fałszujemy, cóż będziemy później czynić? Powstań młody Janie, powstań ukochany młodzieńcze i opisz, coś słyszał i co moje oczy widziały. Odłącz pamięć Zbawiciela od gwałtowników i ludzi złości. Napisz w imieniu Zbawiciela: Bóg jest światłością i nie masz w nim ciemności. Kto nie żyje, nie przyszedł do poznania Boga. Bóg jest miłością. Pisz o nim i powiedz to wyraźnie: on wyszedł z pośród nas. Ale nie, nie i nie; oni do nas nie należą; oni nie są dziećmi boskiego Jezusa.

W dramacie Goveau przeważa duch protestu przeciwko rozpanoszeniu księży i teokracji papieżkiej, która jest tylko zamaskowanym przestarzałym judaizmem. Natomiast przedstawienie pozytywne postaci bohatera i jego moralności schodzi na plan drugi. Wielka tragedia męki odgrywa się za kulisami.

Hr. Rehbindera przeciwnie w końcowych aktach dramatu swego *Jezusa z Nazaretu*, nie tylko przedstawia w całej pełni scenę ludową przed namiestnikiem rzymskim Piłatem, lecz ją nawet teatralnie przekształcił. Scena ta odbywa się u stóp Golgoty. Krzyż na prawo po za sceną nie jest widzialny, lud jednak słyszy ostatnie słowa ewangeliczne umierającego Jezusa.

Rehbindera w dramacie swym występuje przeważnie jako poważny kaznodzieja. Wspaniała jest scena wypędzania przekupniów ze świątyni. Ustęp ten przypomina wydatnie protest Goveau przeciwko rozpanoszeniu księży.

W ogóle zachodzi poważna artystyczna wątpliwość czy postać Zbawiciela nadaje się do akcji dramatycznej? Jezus należy raczej do epepej, i to do epepej przechodzącej niemal w hymny i oratorium. Poemat Kłopsztoka jest typowym utworem sławia-

cym Boga-człowieka, wobec czego, naiwne podania biblijne i ludowe przedstawienia pasyjne nie mają żadnej artystycznej wartości. Wzrusza nas wprawdzie do głębi męczeństwo ludzi, których w kolizjach dziejowych tragiczny los spotyka, ale wielkość sytuacji nierównie wspanialej przedstawia się w odległych perspektywach dziejów.

Bądźco bądź z utworów, które wzięliśmy pod uwagę, dramata Alberta Dulka i Elizy Schmidt pod względem poetycznym są genialne. W obu znajdujemy sceny pełne podniosłego natchnienia, razą tylko miejscami przesadą i hypobulizmem wyrażen, które u Dulka dochodzą do ekstazy a u Elizy Schmidt do pmetejskiej szczytności. Gdyby udało się utwory te przedstawić, przekonalibyśmy się, że są one również pełne wspaniałych efektów scenicznych, jak to można się było spodziewać po autorce, która poprzednio była artystką dramatyczną. Niestety, przedstawienie dramatu Dulka bez skrócen zajmłoby cały prawie dzień albo pół dnia przynajmniej. Dekoracje stanowią tu olbrzymie ramy dla całych mas poruszających się. Następstwem tych różnobarwnych tłumnych scen u Dulka jest brakponiekąd błysków siły dramatycznej, za to u Goveau nie ma ram tak szerokich. Dramat Goveau jest skupiony, epigramatyczny, Rehbindera należy do rodzaju deklamatorskich i jambicznych tragedji.

Jest dosyć jeszcze innych dramatów o Jezusie ale nie wytrzymują one porównania z powyższymi.

S. Cz.

KORESPONDENECY PRAWDY.

Z PETERSBURGA

Pomimo to, że siódmy dziesiątek lat w życiu intelektualnym i społecznym w Rosji stanowi epokę odrębną, bardzo charakterystyczną i obfitującą w różnorodne rezultaty, dotychczas jednak literatura narodowa nie może się poszczycić utworem, któryby zawierał w sobie w tej lub innej formie bezstronny i całkowity obraz historyczny społeczeństwa owego. A byłoby to obraz ciekawy: nowe hasła zabrzmiły w powietrzu, nowi apostołowie wystąpili wśród budzącej się z martwoty masy, która długo przecierała sobie oczy, olśniona nieznanymi blaskami, zanim nakoniec zaczęła się orjentować w swem nowem położeniu; rozpoznawać drogi i ludzi, którzy ją prowadzić chcieli. Drogi okazywały się nie raz błędnymi — ludzie bywali fałszywymi prorokami, lecz dziwić się temu bynajmniej nie należy, gdyż nowe formy życia nie spadają z nieba na głowy nasze całkiem gotowe, ale się wyrabiają drogą długiego procesu i zmian stopniowych, tak samo, jak się też wyrabiają i nowi ludzie. Pokolenie to, o którym mówię, za mało znalazło się przygotowane do tej roli, którą wytworzyły mu okoliczności następujące po wojnie krymskiej; pochwycałszy zaś powiew ożywczy, całą pierśią zechciało nim odechnąć, odrzucając bezwarunkowo wszystkie prawie źródła życia umysłowego swoich ojców i ich ideały społeczne i rzucając się na każdym niedłwie polu w przeciwną im stronę.

Prez z sztuką, dla sztuki, wołają młodzi, precz z powagami, precz z metafizyką, precz z niewolą kobiety, precz z konwencjami! Nie będąc w stanie tworzyć, rzucają się z zapalem do budzenia, a w szale tym, dającym się tłomaczyć zresztą uprzedniami warunkami życia, porywają się nie raz niepotrzebnie na drogie społeczeństwu zasady w sposób gwałtowny i często niesprawiedliwy, to też mnóstwo rąk zbroi

się w kamienie, kierując się w ich stronę i z wielu ust wylatują przekleństwa. Dziś jednak, po latach kilkunastu epoka ta należy do historii, czas więc już spokojniej ocenić tę fazę burzliwą i wydać o niej sąd sprawiedliwy, zrownoważywszy jej zasługi i grzechy. W takim razie zapewne wypadnie przyjść do wniosku, że chociaż epoka ta, jak i wszystkie epoki przejściowe, stworzyła mało — ale oczyściła gościniec i przygotowała niwę dla późniejszych pokoleń, a dziś plon obficie obfity.

P. Achsazarumow, w powieści swojej: *Cokolwiek bądź*, (wo chto by to ni stało Petersburg 1881 r.), zamierzył właśnie odtworzyć życie ludzi z pierwszych lat tego odrodzenia rosyjskiego i trzeba mu przyznać, że wywiązał się z zadania tego sumiennie i zadawalniająco, — jeżeli nie zbyt efektownie i świetnie.

Sympatyje autorskie nas nie krepują, chowając się po za ludzi wprost z życia wziętych, ruszających się żywo przed naszymi oczyma w ich dążeniu do rozmaitych celów i stosunków wzajemnych. Główną osobą w tej powieści, jest nie bohater, lecz bohaterka Helena Ileckaja, młoda i ładna dziewczyna, obdarzona szlachetnymi popędami, energicznym temperamentem, zdolnością inicjatywy. Popędy te z początku zwłaszcza są dość nie określone, czuje ona cześć życia w kółku domowym, składając się z wysokiego urzędnika ojca — ze strachem oczekującego urzęczywistnienia zapowiedzianej reformy; z sióstr — powierczonych liberalnych i kuzynki, głęboko uczuciowej, bezinteresownej i „rozsądnej”, panienki, służącej, jakby za konieczną przeciwwagę, a raczej dopełnienie Heleny. Będąc zelektryzowaną powiewem reformy i powszechnem zajęciem losem włóścian i wogóle braci młodszych, „Helena męczy się myślą, że jest istotą „pasożytną” trutniem...” „Goreje od wstępu”, powiada ona, „przyznając się do tego i kawałek ten chleba zatrzymuje mi się w gardle. Weźcie go i dajcie mi swobodę, o nie więcej nie proszę; przysięgam, że ani chwili tu już nie zostanę, porzucę wszystko, ojca, rodzinę, pójdę za pierwszym, który mi wskaże drogę, chwycę się pierwszej pracy, która mi pozwoli żyć o własnych siłach...” „Precz, precz stąd” powiada bohaterka. „Ale dokąd?” pyta ją obywatel sąsiad, p. Arbenin, człowiek stojący w środku pomiędzy nowymi prądami a starem życiem. „Doprawdy, nie wiem jeszcze,” mówi Helena, „wszystko mi jedno, tam w Petersburgu są ludzie i praca, cokolwiek bądź, znajdę sobie. Pragnienie opuszczenia domu dla szerszej działalności staje się co raz gorętszem, dzięki temu, że szacherki ojca z majątkiem kuzynki, Lizy, którą krzywdzi, poniżają go bardzo w jej oczach i pozbawiają szacunku. Pragnąc w jakibądź sposób podzielać na niego, a zarazem zadowolnić swoje porywy do życia samodzielnego i pracy, Helena opuszcza dom rodzinny z pomocą starego pseudomłynarza, właściwie zaś ukrywającego się skazańca politycznego i staje w Petersburgu, unikając stanowczo dawniejszych swoich znajomych, a nawet domu, w którym zwykle przebywa zimą cała jej rodzina. Z listem pseudo-młynarza, udaje się ona do młodego lekarza, niejakiego Pojarkowa z prośbą o wprowadzenie jej w świat nowy, o zaznajomienie z nowymi ludźmi i nakoniec o ułatwienie jej możliwości jakiego zarobku. Doktor lokuje ją naturalnie w jednym z licznych w owe czasy stowarzyszeń kobiecych, bardzo modnych i zwanych naówczas pompatycznie komunami, później przedstawianych często w zanadto już czarnych kolorach. Pierwsze wrażenie Heleny, dobrze wychowanej i obdarzonej poczuciem estetycznej panienki, w zetknięciu się z komuną nie mogło być miłym i zadawalniającym... Rzucawszy okiem do koła, spostrzegła ona, blisko dziesięć osób, kobiet i mężczyzn, ubranych skromnie i prze-

ważnie młodych, napelniających pokoik. Kogo z nich miała uważać za gościa, kogo zaś za mieszkańca stałego, nie mogła do-
tąd rozstrzygnąć, nie widząc żadnych pre-
tensyj do wyszukanszego stroju i najmniej-
szej różnicy w pozach i zachowaniu się.
Niektórzy na wół leżeli, inni zaś siedzieli
przy stole z książkami; dym od papierosów,
napelniający pokój, zaciemniał go znacznie,
tak że w kątach, oddalonych od lampy by-
ło nawet dość ciemno. Zdziwiona całym
tym widokiem Helena usiadła i poczęła
się przysłuchiwać. Najbliżej koło niej mó-
wiono o pierwszej szkole niedzielnej ko-
biecej, otwartej w przeszłym tygodniu i o
zamierzonych zmianach w jej urządzeniu.
Jeden z sąsiadów Heleny siedzący na po-
ręczy krzesła, szczupły, z rozrzuconym
włosom mężczyzna, powiedział, że był na
ceremonii otwarcia i między innymi wi-
dział tam Helenę Piotrównę Hudymow
z mężem...

— E, co to kłamie Pawlutin — wykrzy-
knęła, wyprostowując się na kanapie mło-
da, zwawa kobieta, jedna z mieszkanki tej
komuny, jak się dowiedziała Helena. By-
ła u Hudymowej onegdaj zrana i ani
słowa nie słyszała od niej o mężu.

— Zapewne potrafiła już go się pozbyć —
zauważył Pawlutin.

— W każdym razie powiedziała mi o
jego bytności, niema przecież potrzeby se-
kretów pomiędzy nami. W Moskwie co-
dziennie prawie biegła do mnie wypłakać
się i poskarżyć; i znam nie gorzej od niej
tego nikczemnika, nie było sposobu znieść
go dłużej więc wyjechała do Petersburga.
Ma tu krewnych i oni to wystarali się jej
o miejsce w szkole.

— Ale ma już troje dzieci — zauważył
Pawlutin.

— A cóż to, chciałabyś Pan, żeby ko-
bieta pochowała siebie we 24 lata?

— Czy słyszałaś, Anno Pawłowno — za-
wołał ktoś od stołu, Cialdini pobił wojsko
papieżkie z kretezem!

W tem wszedł gość nowy, literat Wara-
ksin. „Przychodzę tu z „dzwonami“ — za-
powiedział z daleka. Wszystkie fizyogno-
mie, przed chwilą trochę senne i apaty-
czne, ożywiły się nie do poznania. Książki,
sąsiadujące z lampą, były odrzucone, da-
my, powolnie gawędzące na kanapie, ze-
skoczyły jak chłopcy, ze wszech stron
obstępując Waraksina. Ten zaś ostatni
przysiadł się do stołu, wydobył z kieszeni
zatłuszczony numer pewnej bardzo mądrej
w te czasy gazety¹⁾, noszący na sobie wy-
bitne ślady częstego przechodzenia z rąk
do rąk, i, jak mówca, podjąwszy rękę do
góry i rzucając dokola spojrzenie naswo-
je audytorium, rozpoczął czytanie.

Artykuł wstępny rozsypywał się bry-
lantami, grzmiał i pienił się w błyskach
stylu swego autora, rekomendując i kre-
śląc programata... Odczyt nie był jeszcze
skończony, kiedy kilka naraz głosów po-
częło się spierać z powodu artykułu wstę-
pnego. Jakiś skromny na pozór, gładko
wygolony mężczyzna, nazwiskiem Iwer-
skij, trzymał się zdania, że teraz nie mamy
potrzeby wdawać się z autorem, ponieważ
jest „panem, my zaś — plebejuszami, po-
wtóre, że jest on starym estetykiem i he-
glistą, u którego dawno już wszystko po-
mieszało się w głowie i który trzyma się
tylko pięknymi słówkami. Woroksin cien-
kim dyskantem rzucił się na niego, lecz
zdania wkrótce się podzieliły i słowo po
słowie wzniecił się spór zażarty, którego
temperatura podniosła się prędko do tak
wysokiego stopnia, że nawet damy ude-
rzały pięściami po stole.“

Cały ten widok i treść rozmów uderzył
do takiego stopnia Helenę, że z niecierpli-
wością czekała chwili, w którejby mogła
wyjść z tamtąd. Doktor towarzyszył jej.
Helena zauważyła, że ostatni różnił się od

innych swoim spokojem, trzeźwością po-
glądów i dystygowaniem zachowaniem się.

R.

(Dokończenie nastąpi).

Z KRAKOWA.

11 sierpnia.

Nieraz zapewne Mickiewicz, będąc na
wizycie w jakimś małym mieszczańskim do-
mu, gdy chciał się usiąść na krześle, usły-
szał od szan. gospodarstwa protest mniej
więcej tej osnowy:

— Adam!... zrób mi to — siadaj na ka-
napie!

I Adam z pewnością siadał, przyparty
siłą argumentacji i żylastych rąk.

Podobna lokacja gościa — zwyczaj to
bezwątpienia wielce chwalebny, uwido-
czniający gościnność naszą; ale z tem wszy-
stkiem nader nie wygodny! Jakże to nie-
raz człowiek przechodzić musiał tortury,
gniotąc się na owej kanapie niby w żydow-
skiej szmuljerce, podczas gdy na krześle
był panem siebie, rąk swych, nóg i łokci.
Fala też cywilizacyjna, pochłaniając wszel-
kie tradycyjne zwyczaje, i temu nie daro-
wała. Dziś o kanapie usłyszeć możesz co
najwyżej u pp. burmistrzostwa w Ilży
lub Skaryszewie, w starym dworcu głębo-
kiego Polesia, albo wreszcie — w suplika-
cyach gazeciarsstwa naszego.

Na wieść, iż w Krakowie utworzył się
komitet obradujący nad postawieniem po-
mnika śpiewakowi *Grażyny*, lunął zaraz
grad artykułów w tej sprawie, i nie tylko
u nas, lecz i w Warszawie — tak, że nawet
ludzie aż z „Zagóri dolin...“ Gleichenberga
poczęli w tym celu psuć pióra (nie tak pe-
wnie tanie za górami...), głosując właśnie
za usadzeniem Mickiewicza na kanapie t. j.
w głównym rynku krakowskim, najza-
szczytniejszym miejscu po wszystkich ma-
łych miasteczkach.

Dajmy na to, że autor *Tadeusza* nie wart
nazwiskiem swem ochrzcić jakiego placu, i
nie wart mieć własnego kąta. Ale, skoro
chodzi nam o to, aby pomnik imponował
pięknością swą artystyczną, majestatem i
wspaniałością wymiarów, to czyż w takim
razie rynek krakowski, ów skład gratów
archeologicznych, kościołów, św. Wojcie-
chów, odwachów, wież ratuszowych i ol-
brzymich landar — Sukieniec, — może być
odpowiednim miejscem? Gdzież tu tło
stosowne i niezbędna odległość perspekty-
wiczna? Ten, co górował pieśnią nad in-
nych, ten co „wzlatował do planet i gwiazd
kołowrotu, co kładł dłonie na gwiazdach,
jak na szklanych harmoniki kręgach, i
krecił je swoim duchem,“ — dziś podda-
czo kureczyć się będzie pod wieżą ratuszo-
wą, odwachem austriackim i dzwonnica,
z której Goliary plują na świat ten cały!...

Według wszelkich praw zdrowego roz-
sądku, pomnik Adama w Krakowie ma dla
siebie jedno najwłaściwsze miejsce — plac
szczepański, ponieważ o klitkach Domini-
kańskich, Wszystkich Świętych, łącznie
z Małym Rynkiem nie można nawet ani
myśleć. On jednak dziwnie się nam nie po-
doba, nie dlatego, aby odmawiano mu oka-
załości, najbliższego sąsiedztwa z głównym
rynkiem i graniczenia z plantacyami; ale
dla tej prostej przyczyny, iż nazywa się
Szczepański, ma podobno nierówny grunt,
zły bruk i błoto, a nadto, że sprzedaje się
na nim jarzyna, trumny, szkaplerze i
flaki.

Co to za niedołęztwo tych projektodaw-
czych naszych śmieciuszek! Wszakżeż
wspomniany plac, w razie zawarcia z Ada-
mem związków małżeńskich, może i — ko-
niecznie powinien przezwąć się Mickiewi-
czowskim; grunt zaś, jeśli istotnie jest tak
nierówny, może być także zrównany i o-
czyszczony z błota, kapusty i podgarlanych

kiszek. Wreszcie, jeżeli chodzi jeszcze i o
to, iż kamienie tutaj współ z gmachem
teatru są nie zbyt ponętne, choć wszystkie
prawie dwu i trzy piętrowe, — to zważmy
przecie, że gdy plac Szczepański złączony
zostanie z plantacyami, a sam przemieni
się w powabny skwer, pełen róż i akacyj,
wieńczących dookoła wspaniałe monument
słowika krymskich sadów, — wówczas bez-
warunkowo zaczną tu się odnawiać stare i
budować nowe domy. Obawiam się tylko,
aby za dobre moje chęci nie wykłął mię
z grona wiernych synów kościoła pewien
naiwny, a wielce pobożny krakowski gło-
sik, który ował się tutaj niedawno, ra-
dząc pomnik Mickiewicza postawić przed
jezuickim kościołem św. Barbary, pomię-
dzy Panną Maryą i kamienią z wystawą
rękawiczek Czinczła, w miejscu — nie
śmieję się — o mało co szerszem od uli-
czki Kapitulnej w Warszawie!

Wpływy do funduszu pomnikowego idą
bardzo leniwo; do 100,000 fl. potrzeba nam
jeszcze... więcej niż połowy! I gdyby też
nie pamięć na tak marmurowe oblicze ofiar-
ności naszej, proponowałbym miastu wy-
budowanie niezbędnego tu zakładu dla
cierpiących na mdłości poetyczne.

Mam właśnie pod ręką kandydata do tej
arey-chrześcijańskiej instytucji. Jest nim
niejak p. Godziemba, autor przeszło 280-ciu
Pieśni. W jednej z nich, abyś choć raz
w życiu zaznał *Rajskiej chwili*, podaje na-
m dokładny przepis. Otóż najprzód masz
się dobrze objeść gulaszu, mięsnej, silnie
spaprykowanej potrawy, coś nakształt bi-
gosu; następnie wypić parę kufli piwa, czy
wina, i zdobyć „dziewuchę z czarnem o-
kiem, co gdy czujesz je pod bokiem,“ to,
Bóg wie co ci się nie robi!... Zresztą ze-
zwólmy pośpiewać samemu kanarkowi:

A do wina, do kochanki
Garść tytoniu z Uj-Palanki,
I ziemnicka krótka fajka,
Wtedy troski, to już bajka!

A przy dziewię, przy tokaju
Księżycową nocą w maju,
Gdy cię jeszcze huśta czajka.

Wówczas już — według p. Godziemby —
dzieja się rzeczy okropne! Niby czarowni-
ca na Łysą górę, lub Eliasz do nieba, je-
dziesz wprost do raj! Płakać doprawdy
chce się, iż ludzie na podobne trele marnu-
ją czas, atrament i pióra.

Nie przejęły mię również żadne niebian-
skie drżenia, gdy wzięłam do ręki wydanie
pośmiertne *Wierszy różowych*, słynnego
marudera klasycyzmu, K. Koźmiana. Nie
przeczę: rytm tu ma dobre swoje strony i
język jest czysty, ale wszystko to, nie mó-
wiąc już nic o ekliwych próbkach filonowej
ligawki, takie rozlaże, nudne i kute, jak
całe *Ziemiaństwo* i *Stefan Czarnecki*, które-
go dziennie pod groźbą migreny nie podo-
bna więcej czytać nad 10 do 15-stu wierszy.
Przytem nasz pan kasztelan, jeden
z czynniejszych członków towarzystwa
wzajemnej adoracji z epoki pamiętnej
walki klasyków z romantykami, — budzi
niesmak bielmem swych oczu, lżeniem na
nowatorów, Adama i jego szkoły, oraz
wielu znakomitych ludzi. Oto jeden z pa-
pierowych gromów, rzuconych z ciasnej
izdebki p. referendarza:

Nędzny prochu! coś tyle wieków trudy ronil,
Chcę odkryć, co Bóg mądrze przed tobą zaslonił...

Najpodlejszym ze stworzeń jesteś niewolniku,
Tworze zmysłowy! Próżno duchem wznieść się kusisz!
Plazem jesteś nikczemnym i czołgać się musisz!

Paczkę tych pierników kasztelańskich
otrzymał w upominku IMCI-pan St. Ko-
źmian, z Poznania.

Cztery pieśni starej, niemieckiej epopei:
Der Nibelungen Noth przełożone zostały na
język polski przez prof. L. Germana. Część
to dopiero wzruszających losów braci Ni-
belungów, ofiar zaciętej zemsty siostry ich,
Krymhildy, żony Atylli. Przekład jest

1) *Kołokoł*, Herzen'a.

Literatura zagraniczna.

czysty i miły; czy zaś wierny — sumienie powiedzieć nie mogę — nie miałem bowiem dotąd sposobności porównać go zoryginałem.

Trupie tak zawsze miasto nasze, owo polskie Herculanum, przybrało w ostatnich dniach dość ożywioną postać. Przyczyną tego bynajmniej nie zawalenie się nowego domu p. Ginciga, i nie przejazd ze Szczawnicy laurenta salonu pani Deotymy, i na koniec nie otwarcie Rady Miejskiej; lecz ogólny zjazd młodzieży z letnich wakacji. Ruch na mieście, za miastem, po księgarniach i pensjonatach bardzo znaczny. Jedni zacierają ręce z okazji, że powiodły się im egzaminy wstępne, inni — że zrobią na uczniach dobre interesy, a na ich czele — wódka zakładu wychowawczo-naukowego, ks. Pijar Słotwiński.

Doprawdy warto poznać niektóre paragrafy obowiązujących tam *praw i zwyczajów*. Zaczniemy przegląd skarbów tych od końca.

§ 32. Te prawdy, te rozsądne myśli i uwagi uczynią im (uczniom) wdzięcznym i przyjemnym ten tu sposób edukacji i te wszystkie prawa i zwyczaje zakładu, z których, oby jak największy pożytek i t. d.

I jakież to są „te prawdy, te rozsądne myśli i uwagi!“

Oto: Nogi stawiać lekko, szyję trzymać prosto, nie świstać, paznokcie obcinać, kamizelki zapinać etc. etc. Ale bądźmy sprawiedliwi: są tu i rzeczy całkiem poważne, np:

§ 20. Uczniowie co miesiąc pisząc do rodziców i opiekunów swoich, mają się starać pisać jaknajrozumniej, i dlatego powinni dawać listy swe do poprawy profesorom i t. p... Co tu dalibóg ciepła w tym paragrafie! Choć bowiem wcale się nie zgadzamy z Pawłem apostołem, aby „mądrość tego świata miała być szaleem przed Bogiem,“ — lecz nie możemy się i na to zgodzić, aby dla stylu, dla ładnych, wyrozumowanych frazesów, czyli dla — przypodobania się rodzicom konwiktorów, poświęcać serca biednych malców, tamować swobny wylew ich uczuć w chwilach żalu, tęsknoty, czy radości. Wszak podobna machinacja uczy kłamstwa, obludy i fałszu, co częstokroć z wiekiem rozrasta się w poczarne kształty innych płazów ducha i fizycznej ruiny człowieka. Wogóle nie jesteśmy zwolennikami jezuickiego podkładania tak wiedzy, jak i serca pod krzykłą orkiestrę własnych interesów.

Nie piszemy się również na jeden jeszcze zwyczaj (§ 2), praktykowany w *Sacré Coeur* ks. Słotwińskiego, a mianowicie: każe z młodzianków, wstawszy o godz. 5½ rano i zzuwszy nie złą paczkę różańca, przy ubieraniu się ma zachowywać ściśle milczenie; następnie od godz. 6-jej do 7-jej — milczenie, po południu od 5-jej do 7-jej i pół znowu — milczenie, wreszcie po wieczornych godzinkach jeszcze raz — milczenie.

Według nas, milczenia tego jest trochę za wiele. Zamiast ludzi żywych, ludzi z krwi, ciała i kości, wyhoduje się dla kraju martwej falangi idyotycznych automatów... w konfederatkach i polskich butach, na które, jak płotki na muchy, łapią się rodzice konwiktorów przemysłowego ks. Adama.

Nakoniec pewna krotochwila... Jeśli który z konwiktorów zbije tu np. szklankę lub szkiełko od lampy, i nie przyzna się do tego, oraz nie wynagrodzi szkody, natenczas — jak utrzymują powszechnie — każdy z wychowanców płaci oddzielnie za to szkiełko, czy szklankę, co naturalnie zdarza się najczęściej, w skutek obawy biednego chłopca przed oczekującą go *łaźnią*...

Spekulacya dość prosta.

Prawdżic.

John Veitch. The metod, meditations, and selections from the principles of Descartes. Translated from the original texts with a new introductory essay, historical and critical. Edinbourg and London 1879 r.

Wśród rozmaitych prac, jakie pojawiły się w Anglii ostatnimi czasy o filozofii Descartes'a, godnym jest przedewszystkiem uwagi wstęp, umieszczony przez p. Johna Veitcha na czele szóstej edycji jego przekładu wybranych dzieł tego filozofa.

W części pierwszej tego studium poświęconej specjalnie Descartes'owi, autor zaczyna od oceny słynnej maksymy filozofii *Cogito ergo sum*, która jest początkiem metafizyki kartezjańskiej. P. Veitch jednak wątpi aby maksyma ta była wogóle początkiem całej filozofii Descartes'a. Zwyczajny cykl jego myślenia tak bywa przedstawiany: wątplenie metodyczne; pierwsza pewna prawda czyli *cogito ergo sum*; pierwsze kryterium pewności to jest oczywistości; pierwsza prawda sama w sobie czyli istnienie Boga; drugie kryterium pewności czyli doskonałość boska, potwierdzona przez oczywistość, na koniec — prawa ogólne świata myśli i świata przestrzeni. Ten łańcuchowy spłot myśli, chociażby nawet od początku do końca wiernie przedstawiał stopniowe ogniwa metafizyki kartezjańskiej, w umyśle filozofa poprzedzony został przez inny cykl myślenia. Descartes oznajmia nam, że cała jego filozofia jest wynikiem metody, a ta metoda, którą określił w zimie 1619 r. na wiele lat przed rozmyślaniami, jakie go doprowadziły do *cogito ergo sum*, nie może być uważaną jako wynik tej prawdy, pomimo głównej jej podstawowej zasady, która zabrania przyjmować jakąbądź rzecz za prawdę, jeżeli się oczywiście prawdą nie wydaje, niepozwala przyjmować żadnego sądu tylko taki, który uwidocznia się tak bezpośrednio a prosto, że niepodobna go podawać w wątpliwość. *Cogito ergo sum* nie jest początkiem ale rezultatem metody, jest wynikiem analizy zastosowanej do świadomości, następstwem tego wątplenia metodycznego, które p. Veitch określił słusznie „jako badanie refleksyjne faktów i możliwość świadomości.“

Co jednak było przyczyną, że Descartes podjął to badanie? Wtedy już zreformował matematykę, rozszerzył sferę analizy algebraicznej, wyprowadził ze swej metody główne punkta swej fizyki, postawił zasadę, że tylko jasne i określone pierwiastki naszych wrażeń to jest formy geometryczne i poruszenia są prawdziwe w świecie zewnętrznym. Zkąd to wątplenie o nauce już ustalonej? Ponieważ ta jasność i widoczność nieświadczy bynajmniej o prawdzie przedmiotowej rzeczy, z którymi wydają się związane. Tłumacząc te pomysły filozofa, autor używa terminów jemu nieznanych ale odzwierciedlających doskonale jego myśli. Według niego nauka jest prawdziwą podmiotowo, ona jedna łączy w stosunkach jasnych i wyraźnych pojęcia jasne i wyraźne, ale nie nam jeszcze nie rzeczy, że ta prawda podmiotowa jest prawdziwą przedmiotowo, że rzeczy są takimi, jak o nich myślimy. Wątplenie Descartes'a niedotycze bynajmniej myśli tylko sądów, a opinia taka będzie zupełną jeżeli dodamy, że podług Descartes'a sądy, odnoszące się do rzeczywistości rzeczy pomysłanych, przedewszystkiem podlegają wątpliwości. Raz popadłszy w wątpliwość, Descartes szuka takiego twierdzenia, w którym treść i istnienie (esencya i egzystencya) byłyby połączone w sposób tak nierozdzielny, że niepodobna zaprzeczyć jednej bez drugiego. Taki ma charakter *cogito ergo sum*. Descartes jest pierwszym myślicielem, który oparł filozofię na świadomości a szukając w tej świadomości pierwiastku mogące-

go zapewnić nas o jej pewności, zwątpił o prawdach matematycznych i świecie zewnętrznym, znajdując granice tego zwątpienia w świadomości swego *ja*, która mieści w sobie zarazem pewność istnienia tego *ja*. Ale Descartes niewyprowadza bynajmniej tego *ja* z aktu świadomości, niepojawia myśli (*cogito*) jako pewnego rodzaju świadomości oderwanej, odosobnionej od ściśle określonych aktów świadomości; *cogito* jest podług niego faktem konkretnym myślącego *ja*, jest to doświadczenie świadomości ujęte w określoną formę. Wbrew krytykom, którzy utrzymywali, że podług Descartes'a *ergo sum* jest dedukcją z *cogito*, że o istnieniu naszym wnioskuje on z myślenia, p. Veitch twierdzi, że *cogito ergo sum*, jest oryginalną syntezą związku jakości i substancji. Świadomość ogólna (*notion commune*) — jest refleksyjnym ugruntowaniem tego, co się zawiera w pierwotnej intuicji; jeżeli jednak owa świadomość opiera się na intuicji, można powiedzieć zarazem, że mieści się ona w tej intuicji.

Huxley twierdził, że *jestem*, jest uwarunkowane przez *myślę*, że *cogito* nie jest bynajmniej twierdzeniem prostym ale trzema określonymi zdaniem: 1) coś nazwanego *ja* istnieje; 2) coś nazwanego *myślą* istnieje; 3) myśl jest rezultatem akcji odbywanej przez *ja*, — że z tych trzech zdań tylko środkowe jest niewątpliwe a pierwsze i trzecie mogą być podane w wątpliwość. Podług p. Veitch'a *jestem* nie polega na *myśleniu* ale się w niem mieści, a formuła: *myślę więc jestem*, wynika z tego poprostu. Nie zawiera ona jak chce Huxley trzech oddzielnych zdań, gdyż w takim razie musielibyśmy posiadać oddzielne najprzód świadomości naszego *ja*, później świadomości myśli a na koniec czynności odbywanej przez *ja*, wytwarzające myśl. Tymczasem świadomość naszego *ja* jest nierozdzielna ze świadomością określonego aktu myślenia i nawzajem świadomość myśli jest nierozdzielna ze świadomością naszego *ja*.

Jeżeli świadomość i istnienie mieszczą się w sobie wzajemnie, jakież jest podług Descartes'a ich wzajemny związek? P. Veitch, zbijając różne poglądy, twierdzi, że podług Descartes'a *cogito ergo sum* jest tylko logicznym orzeczeniem, które przedstawia dwa wyrażenia jednego faktu. Celem jego nie było uchwycić stosunku zamiennego między temi dwoma pojęciami, ale ująć w fakcie istnienie rzeczywistości, o której nie można powątpiewać. P. Veitch zwrócił uwagę na to, że wątplenie metodyczne Descartes'a jest natury przedewszystkiem przedmiotowej, że sprawdza przedmiotową wartość naszych pojęć i sądów. Badając czy myśl ludzka jest wyrażeniem rzeczywistości, Descartes rozbiiera pojęcia i szuka pomiędzy niemi takiego, z którym istnienie byłoby związane w sposób nierozdzielny, i znajduje *cogito ergo sum*. Jest to pierwszy krok wyjścia z obszaru wątpliwości. Przyjął więc należy, podług wyrażenia Descartes'a, że „świadomość moja ujawnia moje istnienie, że logiczne i chronologiczne jest ono początkiem poznania.“ Razem z nią jednak daną mi jest moja istność. Istnieje o tyle, o ile jestem świadomy. Istnienie moje nie jest jednak złączone absolutnie ze świadomością chwilową. Jeżeli bowiem jest ono ujawnione przez świadomość w chwili określonej, to mój byt jednakże nie jest ograniczony tą chwilą; rzeczywistość mego świadomego życia jest czemś więcej aniżeli szeregiem świadomości po sobie następujących i oddzielonych jedna od drugiej. Nie jest to istnienie samo w sobie nieokreślone i chwiejne, jest to istnienie określone przez różne stany mej świadomości. Gdy mówię *jestem*, to znaczy *jestem tu lub tam*, jestem o tyle, że myślę o moim istnieniu, o tyle, że posiadam świadomość w sposób określony, o tyle że czuję, rozumiem, pragnę lub chcę.“ Rysem zasadniczym filozofii Descartes'a, jak twierdzi

p. Veitch jest stwierdzenie samorodności (spontanizacji) pierwszego aktu poznania zawartego w *cogito ergo sum*. Posiadam świadomość i dla mnie jest to początkiem poznania istnienia. Od tego zależy wszystko co mogę po zatem poznać. Jest to dla mnie ujawnieniem bytu i ugruntowaniem poznania. Jest to utrwaleniem poznania na prawdziwej podstawie świadomej obserwacji w określonej formie. Przez to Descartes inaugurował metodę oraz instrument filozofii, od których nie będą mogli odstąpić myśliciele bez zboczenia na obłądne drogi abstrakcji i bez wytwarzania mistycznych pomysłów czystego myślenia, to jest rozumowania oddzielnego od doświadczenia.

Czy jednak *cogito ergo sum* pozwala nam wyjść po za granice ja? Chociaż jest ono niezaprzeczenie prawdziwe, czy jednak tkwi w nim powszechne kryterium pewności, która nam pozwala przekroczyć granice naszej świadomej myśli, aby stwierdzić rzeczywistość będącą po za nami i rzeczywistość różną od nas. P. Veitch zwraca uwagę, że rzeczywistość stanowi kryterium, którego zastosowanie jest dwójakie. Czy należy mówić, wszystko co jest jasne i wyraźne jest możliwe, czy też wszystko co jest jasne i wyraźne jest rzeczywiste? Pierwszą formułą nie przekraczamy naszego ja, przyjmując drugą, musielibyśmy utożsamić myślenie z bytem. Krytykując następnie Descartes'a za to, że niedostatecznie odróżnił te dwie strony prawdy, p. Veitch streszcza w sposób następujący teorię jego o rzeczywistości świata zewnętrznego. Podług niej esencją materii jest przestrzeń, ale przestrzeń sama przez się nie upewnia nas o swej rzeczywistości, tak jak fakt wiadomości; możemy zaprzeczyć przedmiotowości jej istnienia bez kontradycji. Ponieważ przestrzeń znaną jest nam jako jej pojęcie, przeto zadaniem filozofii kartezjańskiej jest wykazać, że to pojęcie wyraża rzeczywistość. Podług Descartes'a przestrzeń jest dla mojej myśli rzeczą jasną i wyraźną, mam naturalną dążność wierzyć, że ona jest rzeczywistą. I rzeczywistość musi być taką, gdyż inaczej Bóg, istność najdoskonalsza i dobra, twórca mego bytu nie dałby mi zdolności omylnych i nie pozwolił by, aby zdolności te wprowadzały mnie w błąd, który mieści w sobie kontradycję. A więc rzeczy jasne i wyraźne, w których rzeczywistość wierzę są rzeczywiste. Widoczność *możliwości* i *rzeczywistości* rzeczy jasnych i wyraźnych ukazuje się zaznaczoną dokładnie w systemacie. Zanim ukaza się nam rzeczywistymi, — te rzeczy ukazują się nam przedewszystkiem jako możliwe. Nieistnienie wewnętrznej kontradycji jest w nich warunkiem *możliwości*, ale ta możliwość nie pociąga za sobą *ipso facto* rzeczywistości. Dowieść jej dopiero można uciekając się do idei Boga, w której istnienie związane jest z treścią w odpowiedni sposób. Ponieważ doskonałość boska zapewniła nam prawdziwość naszego poznania, dlatego więc i tylko dlatego jasność i widoczność stają się kryterium rzeczywistości. Przez tę interwencję idei Boga, spekulacja Descartes'a, która rozpoczęła nowy pochód od wiadomości naszego ja, zmienia punkt wyjścia i z doświadczalnej staje się metafizyczną. Ta zmiana frontu, jak się zdaje, w oczach p. Veitch'a jest zboczeniem jakoby od prawdziwego kartezjanizmu. Inaczej trudno byłoby objaśnić dlaczego w części historycznej swego studium nie przyznaje nasz autor Spinozie tytułu prawowitego ucznia Descartes'a. Podług p. Veitch'a dzieło Descartes'a jest tedy głównie filozofią intuicji, i z tego punktu widzenia raczej Leibnitz niż Spinoza jest bezpośrednim następcą Descartes'a. Opinia ta sprzeciwia się zdaniu badaczy filozofii, podług których system Spinozy zawiera rozwinięcie zarysów metafizyki rzuconych przez Descartes'a, który wyznaczył jej punkt wyjścia przez swoje określenie substancji, rze-

czy istniejącej samej w sobie, wyznaczył także jej granicę przez tożsamość, jaka podług niego zachodzi pomiędzy pierwszym początkiem rzeczy i bezwzględną wolnością. W filozofii Spinozy i Malebranche'a a nawet Kanta, Fichtego i Schellinga, wbrew twierdzeniom p. Veitch'a wielu krytyków angielskich widzi rozwinięcie zarodków kartezjanizmu, chociaż śmiało i wybujałe pomysły idealistów i metafizyków odbiegły daleko od tej filozofii, opartej na intuicji i obserwacji. Podług tego w filozofii Descartes'a mieszczą się dwie dążności, jedna w kierunku, który obrali metafizycy ze Spinozą na czele, druga w kierunku mniej awanturniczej, bardziej pokrewnej z rzeczywistością i doświadczeniem filozofii Locke'go oraz jego uczniów.

L. L.

KORESPONDENCYA TALLEYRANDA.

II.

Powiedzmy z góry, że, jak nas przekonywają szczegóły korespondencji między Talleyrandem a Ludwikiem XVIII, najdokładniejszym i najwięcej wyczerpującym ze wszystkich relacji o kongresie wiedeńskim, jego przebiegu i zakulisowych robotach, jest opowiadanie Thiersa w XVIII tomie *Historji Konsulatu i Cesarstwa*. Mimo to nie traci pomieniona korespondencya przez to na interesie i wartości, przeciwnie obfituje w zajmujące szczegóły, które bądź to treściwość opowiadania, bądź dyskusya autora historyi Konsulatu i Cesarstwa pominięły milezieniem.

Talleyrand opuścił Paryż dnia 16 września 1814. Po krótkim zatrzymaniu się na dworze bawarskim, stanął we Wiedniu d. 23 września. Pomijamy umyślnie w sprawozdaniu naszym, które choćby ze względu na rozmiary naszego pisma, nie może być zbyt rozciągnięte, opisy spotkań i rozmów z najrozmaitszymi większymi i mniejszymi monarchami, z różnymi dyplomatami i generałami, których na bruku wiedeńskim wówczas pełno a którzy z niecierpliwością, każdy w nadziei uwzględnienia swego partykularnego interesu, czekają rozpoczęcia kongresowych narad. Opisy te nie są pozabawione ani pewnego wdzięku, ani ciekawości; są, jak francuz by powiedział, *piquants*. Trzeba nam przecież spieszyć do rozpatrzenia się w politycznej fizjonomii, w politycznych pracach i politycznych rezultatach kongresu, jak nam się z korespondencji Talleyranda przedstawiają.

Akcyja jego stawała się w znacznej części zależną od moralno-politycznego gruntu, jaki na miejscu zastała; kongres wiedeński pieczętujący faktem swego zebrania i obrad największe może wstrząśnienia, przez jakie Europa od czasu istnienia swego politycznego przeszła, jest, śmiało powiedzieć można, jedynym z wszystkich, w którego intencye, narady i postanowienia weszły jako ważny czynnik zasady natury moralnej i politycznej. Inne tego rodzaju rady i zebrania, nie wyjmując n. p. ostatniego z wszystkich, kongresu berlińskiego, trudnią się po prostu tylko specjalną kwestyą *interesu* tych i owych mocarstw, ustanowieniem i uregulowaniem bilansu strat i zysków, wynikających w ostatecznym rezultacie z mającego się ułożyć i załatwić zawikłania. Kongres wiedeński, dzięki mianowicie usposobieniu cesarza Aleksandra i jego otoczenia, znajdującemu do pewnego stopnia sympatyczny oddźwięk w podobnychże usposobieniach cesarza Franciszka i króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III, dał w swych naradach i postanowieniach przystęp *zasadom*, nie mającym często nic wspólnego z kwestyami suchego, politycznego interesu. Najlepszym tej prawdy dowodem pozostanie podpisany

uroczyście przez trzech monarchów akt św. przymierza, którego sensem moralnym pozostanie, cokolwiek bądź się z nim później stało, ścisłe trzymanie się prawd chrześcijańskiej moralności w polityce własnej i systemie europejskim. Konserwatyzm i legitymizm, jako dwie zasady politycznego znaczenia, zapowiadały stać się regulatorem kongresowych postanowień. Nie przeszkadzało naturalnie owo *przemycanie* pierwotku *zasadniczego* w zamkniętą sobie zwykłe dziedzinę *interesu* politycznego odzywać się owemu interesowi i jego reprezentantom bardzo donośnym głosem. *Zasada* wależyła przez cały ciąg trwania kongresu z *interesem*; pierwsza wpływała miarkująco na drugi; drugi nie pozwalał przyjąć do zupełnego uznania pierwszej. Z podobnej sprzeczności, z podobnego antagonizmu wyrodziło się dzieło kulawe i połowiczne, starające się nieudolnie godzić *interes* z *zasadą*, cokolwiek bądź przeciw jeszcze uznania godne w porównaniu z tem, co w rozrządzaniu losami Europy miało nastąpić później.

Talleyrand, przybywając we wrześniu r. 1814 do Wiednia, rozpatrzył się odrazu w charakterze podobnym kongresowego gruntu i zastosował doń nader zręcznie i umiejętnie politykę *interesu* reprezentowanego przez się państwa. Cóż wobec nowego położenia rzeczy europejskiego, zapytać by można, było interesem Francji? *Terytorjalnie* nie mogła i nie chciała nie żądać; dzięki względności sprzymierzonych, wyszła w pokój paryskim z r. 1814 z lepszymi granicami, niż je posiadała w roku 1790; sięgać dalej, znaczyło to samo, co rozpoczynać niemożliwą i tylko już klęski zapowiadającą wojnę. Czego natomiast wymagał interes Francji, to powrotu do owej polityki Ludwika XIV, której Francja nowoczesna tak doszczętnie zapomniiała, a której tradycyę świadomie czy nieświadomie żyły czy odżyły w Talleyrandzie. Polityka ta, warunkująca przewagę Francji na lądzie stałym europejskim, polegała na opiece Francji nad *ślabszymi* z pośród państw europejskich, na podtrzymywaniu ich francuskim wpływem, złotem, czasem żołnierzem przeciw uciskowi lub zupełnemu zdławieniu przez *potężniejsze*. Podobne podtrzymywanie równowagi europejskiej za pomocą nieustającej działalności Francji stanowiło tajemnicę potęgi jej w epoce Ludwika XIV. Cała sztuka zachowania jej nadal polegała na niedopuszczeniu, by u granicy jej wyrosły jednolite, potężne organizmy zdolne zrównoważyć lub przewyższyć jej własną siłę. Wytworzenie się podobnych organizmów groziło Francji polityczną asfiksyą, a Talleyrand pojmował prawdę tę, — mniejsza o to, czy świadomie, czy instynktowo, formułując ją w aksem politycznym, „iż głównym zadaniem Francji nie dopuszczać, aby Prusy wzrastały zbyt w Niemczech, Austria we Włoszech.“

Aby zapewnić przeciw za pomocą podobnej gry przewagę Francji nad kontynentem europejskim, aby się mógł posługiwać podobnymi klawiszami, trzeba było naturalnie, *aby istniały*, aby zaś tam, gdzie w skutek rewolucji francuskiej lub jakich bądź innych wypadków przestały istnieć, powróciły znowu do życia. Ponieważ zaś przedrewolucyjna i przednapoleońska przeszłość przedstawiała kartę Europy odpowiadającą najlepiej podobnemu interesowi Francji, nadawała się z pozorami najzupełniejszej *bezinteresowności* zasada restauracji, konserwatyzmu i legitymizmu, jako podstawa akcyi reprezentanta Francji na kongresie wiedeńskim. Trzymanie się podobnej podstawy ze strony Talleyranda stawało się, *nie* jak u Metternicha, bezmyślnym i szkodliwym kultem doktryny, lecz po prostu praktyczną a ze względu na charakter kongresu i usposobienie zgromadzonych na nim monarchów zręcznie wyżyłską ręką politycznego interesu Francji. Nie wystarczało jednakże być zbroj-

nym w podobną zasadę, trzeba było jeszcze zdobyć Francji w gronie reprezentowanych na kongresie mocarstw głos i stanowisko, którego jej koalicja europejska mimo upadku Napoleona i mimo dokonanego przewrotu odmawiała. Mimo restauracji Burbonów, mimo traktatu pruskiego, mimo tych wszystkich wypadków, przekreślających nibyto rewolucyjną i napoleońską przeszłość, uważały się Anglia, Austria, Rosja i Prusy za związane dotąd węzłem koalicyjnym, za rodzaj dyktatury pośród innych kongresowych mocarstw skazanych bezopornie słuchać ich postanowień. Francja mianowicie znalazła się wraz z Hiszpanią, reprezentowaną przez markiza Labrador, wraz z Portugalią, reprezentowaną przez hr. Palmellę, skazaną na zajmowanie podobnie podrzędnej roli. Zobaczmy według własnej relacji Talleyranda, jak potrafił przełamać zaczarowane koło, którem przedłużająca swe istnienie koalicja Francją chciała zamknąć. Dnia 30 września odbyła się konferencja, na którą reprezentanci czterech mocarstw koalicyjnych zawięzali Talleyranda. „Przedmiotem konferencji dzisiejszej, powiedział mi lord Castlereagh, jest dać Panu wiadomość o czynnościach czterech dworów, od których się znajdują tutaj. Zwracając się następnie do księcia Metternicha, rzekł: Pan masz protokół. P. Metternich doręczył mi następnie dokument podpisany przezeń, hr. Nesselrodego, lorda Castlereagha i księcia Hardenberga. W dokumencie tym powtarzał się wyraz *sprzymierzeni* w każdym paragrafie. Podjąłem ten wyraz; zauważyłem, iż zmusza mnie do zapytania, gdzie jesteśmy, w Chaumont czy w Zaou, czy pokój nie zawarty, czy jeszcze jest jaki zatarg i z kim. Wszyscy odpowiedzieli mi, że nie przypisują wyrazowi *sprzymierzeni* znaczenia przeciwnego stanowi obecnych naszych stosunków i że użyli go tylko dla krótkości. Na to zauważyłem, że jakkolwiek może być wartość krótkości, nie trzeba jej okupywać kosztem dokładności.

Co się tyczy treści protokołu, było to zbiorowisko metafizycznych rozumowań, mających na celu uzasadnienie pretensji, opartych na nieznanym nam jeszcze traktatach. Wdać się w rozprawę nad temi pretensjami i rozumowaniami, byłoby to rzucać się w ocean gadania; czułem, iż trzeba odrzucić wszystko argumentem zasadniczym; przeczytałem kilka paragrafów i rzekłem: nie rozumiem. Odczytałem je na nowo spokojnie po raz drugi, z miną kogoś, co się stara odgadnąć sens pewnej rzeczy, i dodałem, że jeszcze mniej rozumiem. Dodałem: istnieją dla mnie dwie daty, między którymi nie ma; data 30 maja, kiedy postanowiono odbyć kongres; 1 października, kiedy się miał zebrać. Wszystko, co się stało w tym przeciągu czasu, jest dla mnie obcem i nie istnieje dla mnie.

Odpowiedzią pełnomocników było, iż im na tym dokumencie mało zależy i że się zgadzają na jego cofnięcie, co spowodowało ze strony P. Labrador'a uwagę, iż go przecież podpisali. Odebrali go. P. Metternich odłożył go na stronę i nie było o nim więcej mowy. W podobny sposób odrzucił Talleyrand, a za jego przykładem reprezentant Hiszpanii, markiz Labrador, inny, przedstawiony im projekt, którego sens moralny obracał się na tak zwane *majoryzowanie* Francji przez mocarstwa koalicji. Natomiast wystąpił Talleyrand z własnym projektem. „Wygotowałem,“ pisze, „pod dniem 1 października do ministrów pięciu innych mocarstw podpisaną przezemnie notę, oświadczającą, iż ośm mocarstw, podpisanych pod traktatem z 30 maja, zdaje mi się, dzięki tej jednej okoliczności i w braku pośrednika, być dostatecznie umocowanych do utworzenia komisji, któraby przygotowała do decyzji kongresu kwestyę, potrzebującą spieszego załatwienia, i zaproponowała utworzenie komitetów, których konieczność uzna, wraz z nazwiskami ich

członków, lecz że kompetencja ich nie ma sięgać dalej; że nie będąc kongresem, lecz częścią tylko kongresu, gdyby sobie podobne komitety chciały przypisywać władzę należną tylko kongresowi, byłoby to uzurpacja, której nie mógłbym podzielać i godzić z moją odpowiedzialnością; że trudność zebrać kongresu nie zmniejszy się z postępowaniem czasu i że powinna raz przecież być zwyciężoną, nie można nic na odkładaniu jej zyskać; że małe państwa nie powinny bez wątpienia mieszać się w ogólne sprawy Europy, lecz że nie będą nawet tego pragnęły i nie będą pod tym względem stanowiły kłopotu; że wszystkie te powody skłaniają mnie tedy do żądania, aby ośm mocarstw zajęło się bezzwłocznie kwestyami przedwstępnymi kongresu, aby go można jak najprędzej zebrać i decyzyję jego poddać.“ Dalszy ciąg owej wstępnej akcyi Talleyranda, emancypującej Francją od stanowiska podrzędności, na jaką ją koalicja europejska chciała skazać, stanowi odbyta tegoż samego dnia konferencja z Cesarzem Aleksandrem, której treść jest zbyt charakterystyczną, abyśmy jej nie mieli przytoczyć w dosłownem jej brzmieniu: „Po wyprawieniu powyższej noty,“ mówi Talleyrand, „udałem się na poufną audiencję, jaką mi naznaczył Cesarz Aleksander. P. Nesselrode przyszedł mi oświadczyć z jego strony, że pragnie się widzieć ze mną sam na sam; zresztą przypomniał mi to sam Cesarz dnia poprzedniego na balu dworskim, gdzie miałem zaszczyt znajdować się z nim razem. Przystępując do mnie, wziął mnie za rękę; wyraz twarzy jego nie był, jak zwykle, serdeczny; jego słowa były krótkie; jego sposób zachowania się poważny, a może nieco uroczysty. Spostrzegłem się wyraźnie, że odgrywa wobec mnie plan z góry ułożony. Przedewszystkiem, rzekł do mnie, jakież jest położenie waszego kraju? Tak dobrem, jak tylko W. Cesarska Mość możecie sobie życzyć, a lepsze, jak się można było spodziewać. Usposobienie publiczne? Poprawia się z każdym dniem. Idee liberalne? Nie ma ich nigdzie więcej, aniżeli we Francji. Ale swoboda prasy? Jest przywróconą z wyjątkiem małych ograniczeń, nakazanych okolicznościami; ustana w przeciągu dwóch lat i nie przeszkodzi, aby aż dotąd wszystko co dobre i co użyteczne nie było publikowanem. A wojsko? Jest całe oddane królowi. 130,000 ludzi jest pod chorągwiami, a na pierwsze wezwanie może się z nimi 300,000 połączyć. Marszałkowie? Którzy, N. Panie? Oudinot? Jest oddany królowi. Soutt? Z początku był nieco kwaśnym; dano mu zarząd Wandei; postępował sobie tamże wysmienicie; kochano go tam i szanowano. A Ney? Żałuje nieco swych dotacyi; W. Cesarska Mość mogła byś ten żal zmniejszyć. Obie izby? Zdaje mi się, że jest opozycja? Jak wszędzie, gdzie są korporacje obradujące; zdania mogą się różnić, lecz uczucia są jednolite; w różnicy zaś przekonani rządowe mają zawsze wielką większość. Ale nie ma zgody? Któż mógł takie rzeczy mówić W. Cesarskiej Mości? Skoro po dwudziestu pięciu latach rewolucyi, król w przeciągu kilku miesięcy znajduje się tak dobrze utrwalonem, jak gdyby nigdy Francji nie był opuszczał, jakiegoż lepszego dowodu trzeba, że wszystko zdąża do wspólnego celu? Twoje położenie osobiste? Zaufanie i dobro króla przechodzą me nadzieje. A teraz mówmy o nowych interesach; trzeba abyśmy się tutaj załatwili z nimi. Zależy to od W. Cesarskiej Mości. Skończą się prędko i szczęśliwie, jeżeli W. Cesarska Mość rządzić się w nich będziez tą samą szlachetnością i wspaniałomyślnością, jakimi się rządziłeś względem Francji. Trzeba jednakże, aby każdy znalazł swe stosowne miejsce. A każdy swoje prawa. Zatrzymam, co zajmuję. W. Cesarska Mość nie zechce zatrzymać więcej po nadto, co Jej się z prawa należy. Jestem w zgodzie

z wielkimi mocarstwami. Nie wiem, czy W. Cesarska Mość zaliczasz Francją do rzędu tych mocarstw. Tak, z pewnością; lecz jeżeli nie chcesz, aby każdy znalazł swe miejsce, czegoż żądasz? Kładę prawo przed dogodnościami. Dogodności Europy są prawem. Mowa ta, N. Panie, nie jest twoja, jest cioba, a serce twoje jej się wypiera. Nie; powtarzam, dogodności Europy są prawem. Wtedy to obróciłem się ku ścianie, obok której stałem; oparłem o nią głowę i uderzając nią w wyrób z drzewa, zawołałem. Europo, nieszczęśliwa Europo! Zwracając się do cesarza, rzekłem: będzież powiedziano, że ja zgubiłeś? Odpowiedział mi: Raczej wojna, aniżeli zręczenie się tego, co zajmuję. Opuściłem ramiona, a w postawie człowieka zasmuconego, lecz zdecydowanego, który wyrażał myśl: *nie będzie naszą winą*, — zachowałem milczenie. Cesarz nie przerywał go przez kilka chwil, następnie powtórzył: Tak, raczej wojna. Zachowałem tę samą postawę. Wtedy, podnosząc ręce i potrząsając niemi, jak tego nigdy u niego nie widziałem, a w sposób, który mi przypomniał ustęp kończący *Mowę pochwalną na cześć Marka Aureliusza*, zawołał raczej, aniżeli powiedział: otóż godzina reprezentacyi; winienem tam się udać, przyrzekłem cesarzowi; czekają na mnie. I oddalił się, potem jednakże otwierając drzwi, a wracając do mnie, ujął mnie obu rękami i ścisnął mnie, odzywając się głosem, który nie był jego zwykłym głosem: *adieu, adieu*, zobaczmy się! W ciągu tej całej rozmowy, której komunikuję W. K. Mości tylko ustęp najcharakterystyczniejszy, *Polska i Saksonia* nie były ani razu wymienione, lecz tylko oznaczane omówieniami. Tak to miał cesarz na myśli Saksonią, mówiąc: *Ci, którzy zdradzili wspólną sprawę Europy*. Na co miałem sposobność odpowiedzieć: *N. Panie, jest to tylko kwestyą daty*, a po malej pauzie dodałem: *i skutkiem kłopotów, w jakie można być rzuconym okolicznościami*. Raz wspomniał cesarz o *sprzymierzonych*; podjąłem to wyrażenie, jak to uczyniłem na konferencji, a on zwałił je na karb przyzwyczajenia.

W ten sposób udało się Talleyrandowi zyskać dla Francji należne jej stanowisko w gronie kongresowych mocarstw, w ten dalek sposób przekonać Cesarza Aleksandra o materyalnej potędze Francji, zdolnej w razie konieczności przeprowadzić, zwłaszcza przy nadarzających się aliansach, siłą kongresowy swój program. Na wskazanem co dopiero tle rozwija się przebieg negocyacji kongresowych. Talleyrand kładzie kilkakrotnie nacisk tak wobec mocarstw kongresowych, jak w korespondencji swej z Ludwikiem XVIII, nacisk na okoliczność, „że dyplomaція Francji może śmiało i dumnie podnosić czoło, ponieważ nie występuje w imię żadnego samolubnego interesu, ale opiera się jedynie tylko na sprawiedliwości i prawie.“ Jakiego rodzaju ta bezinteresowność była i jaki cel sobie kładła, wiadomo nam już z powyższego opowiadania. Nie przeszkadza to przecież, abyśmy jej znów ze stanowiska *naszego* interesu nie mieli darzyć współczuciem. Zadaniem akcyi kongresowej polityki francuskiej stawała się restauracja, prawowitość i zachowawczość, ale w całej powadze i szczerości tych pojęć. Agenda jej reprezentanta obejmowała przywrócenie Polski w jej dawnych granicach; utrzymanie niepodległości Saksonii; powrót dynastji Burbonów na tron neapolitański z obaleniem królewskości Murata; utrzymanie niezależności małych państw niemieckich wobec pretensji Prus i unifikacyjnych aspiracyi osobistości, jak Stein i Hardenberg; wreszcie zachowanie praw młodszej linii domu panującego w Piemoncie wobec apetytu Austrii na zagarnięcie tegoż kraju po wygaśnięciu linii starszej. Dodaćby może wypadło do tych zadań polityki francuskiej pojawiający się raczej

w charakterze kwasu i niezadowolenia, aniżeli przedmiotu jakiejś praktycznej akcji i kłopot z powodu uzurpatorskiej królewskości Bernadottego. Była to jednakże kwestya podrzędnej wagi, z którą się sam nawet ówczesny legitymizm francuski za pomocą uspokajającego sumienia swe monologu załatwił. Inaczej za to miała się rzecz z kwestyami wzwyż wspomnianymi, których europejskie znaczenie wraz ze sprzecznościami interesów, jakie wywoływały, absorbowało całą działalność kongresu, stawało się jego głównym czynnikiem. Żalujemy, że rozmiary naszego sprawozdania nie pozwalają nam w całej rozciągłości i malowniczości zamieścić rozmaitych szczegółów, odbywających się w przedmiocie załatwienia wszystkich tych zawikłań konferencyi, mianowicie dyalogów między Talleyrandem a rozmaitymi reprezentantami skłóconych z programem Francyi interesów, jak z Nesselrodem, Hardenbergiem, niekiedy Castlereaghiem i Metternichem. Wypada nam spieszyć ku streszczeniu głównych rezultatów, co nie przeszkodzi jednakże, abyśmy nie mieli przytoczyć co z charakterystyczniejszych dowodów sposobu myślenia Talleyranda w tej i owej ze wspomnianych co dopiero kwestyi. Główną z nich i naczelną stanowiła *Polska*. Różnica zdań między reprezentantami: Francyi, Talleyrandem, Anglii, Castlereaghiem a Cesarzem Aleksandrem była tu tem ciekawszą, tem więcej zastanowienia godną, że na pozór chcieli wszyscy spełnienia jednej i tej samej rzeczy. Talleyrand sam oddawał swemu angielskiemu koledze świadectwo, „że o ile jest dobrym w kwestyi polskiej, o tyle jest złym w kwestyi saskiej.“ Cesarz Aleksander pragnął przywrócenia Polski, *ale* pod swoim berłem i z odstępniem znaczących części kraju Austrii i Prusom. Talleyrand i Castlereagh byli stanowczymi przeciwnikami restauracyi tego rodzaju Polski, w skutek czego Cesarz Aleksander uważał ich i wskazywał wobec polaków, mianowicie wobec księcia Adama Czartoryskiego, jako przeciwników tejże restauracyi *wogóle*. Interpelował ich o to sam kilkakrotnie, interpelował za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego, stawiając się zawsze w charakterze rzecznika rekonstytucyi Polski, zmuszonego walczyć z jej przeciwnikami. Przedmiot to zbyt blisko nas obchodzący, abyśmy nie mieli dosłownie przytoczyć przebiegu choć *jednej* tylko z licznych konferencyi, jakie się w tej kwestyi odbywały między Talleyrandem, Cesarzem Aleksandrem, Castlereaghiem, Metternichem, królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III, jego pełnomocnikami: Hardenbergiem i Złumboldtem, wreszcie księciem Adamem Czartoryskim. Wszystkie te rozmowy i konferencye przedstawiają nader zaciekawiający interes dla czytelnika *Korespondencyi Talleyranda*. Pozwoliłmy sobie, jak co dopiero powiedziano, przytoczyć dosłownie przebieg *jednej*, co najcharakterystyczniejszej. „Cztery dni temu,“ pisze Talleyrand pod dniem 25 października, „książę Adam Czartoryski, dla którego świat cały jest w Polsce, przyznał, oddając mi wizytę i tłumacząc się, że tego rychlej nie uczynił, iż przedewszystkiem powstrzymało go od tego usposobienie moje bardzo nieprzychylnie dla polskiej sprawy. Lepszem ono, niż wszystkich innych, odpowiedziałem; chcemy ją mieć całą i niepodległą. Byłoby to bardzo pięknie, odparł, lecz jest to mrzonka, mocarstwa nigdy się na to nie zgodzą. A więc, odpowiedziałem, Polska nie jest już naszą główną sprawą na północy. Utrzymanie Saksonii obchodzi nas więcej; w pierwszym rzędzie podejmujemy tę kwestyę; w drugim dopiero kwestyę polską. Skoro wychodzi na kwestyę granic, jest rzeczą Prus i Austrii zabezpieczyć je sobie; pragniemy, aby były zadowolnione co do tego punktu; skoro jednakże będą zaspokojone co do

swego sąsiedztwa, nie będziemy przeszkadzali, aby Cesarz rosyjski nadał krajowi, który mu będzie ustąpiony, formę rządu, jaką zechce. Za to ułatwienie z naszej strony żądam utrzymania królestwa saskiego. Insynuacya ta podobała się do tego stopnia księciu Adamowi, że wprost odmownie udał się do cesarza, z którym miał rozmowę trzechgodzienną. Rezultatem jej było, że hr. Nesselrode, którego niewiedziałem nigdy u siebie od pierwszych chwil mego przybycia, przyszedł do mnie wieczorem, w celu uzyskania objaśnień, jakie mu dałem, nie wchodząc jednakże dalej w rzecz, aniżeli z księciem Adamem i starając go się przekonać, że zachowanie królestwa saskiego jest punktem, od którego W. K. Mości nie podobna odstąpić.“

W skutek tego wyznaczył Cesarz Aleksander reprezentantowi Francyi posłuchanie, którego przebieg odsłania w całej jasności i zrozumiałości stanowisko kongresowych mocarstw wobec sprawy polskiej i saskiej. „W Paryżu,“ rzekł Cesarz Aleksander do Talleyranda, „byłeś za istnieniem jakiegoś Królestwa Polskiego (d'un Royaume de Pologne); jak się to robi, że dziś zmienileś zdanie? Moje przekonanie, N. Panie, jest jeszcze toż samo. W Paryżu była mowa o przywróceniu całej Polski. Chciałem wtenczas, jak chciałbym dzisiaj, jej niepodległości. Obecnie natomiast chodzi o rzecz zupełnie inną, kwestyę ta zesła na oznaczenie granic, któreby zabezpieczyły Austrię i Prusy. Nie powinny być zaniepokojone; zresztą mam 200,000 ludzi w Księstwie Warszawskim; niech mnie zeń wypędzą; dalem Saksonię Prusom, Austrija zgadza się na to. Nie wiem, odpowiedziałem, czy Austrija na to się zgadza. Trudno mi w to uwierzyć, do tego stopnia jest to przeciw jej interesowi. Lecz czyż przyzwolenie Austrii może uczynić Prusy właścicielami tego, co należy do króla saskiego? Jeżeli król saski nie będzie abdykował, będzie wywieziony do Rosyi i umrze tamże. Umarł tam już inny król. Wasza Cesarska Mość pozwoli, że Jej nie uwierzę; kongres nie zgromadził się na to, aby patrzeć na podobny zamach. Jaki? Zamach! Cóż to? Czyż Stanisław (Poniatowski) nie był wywieziony do Rosyi? Czemuż by tam nie miał pójść i król saski? Przypadek jednego stosuje się i do drugiego. Niema tu dla mnie żadnej różnicy. Miałbym zbyt wiele do opowiedzenia! Wyznaję W. K. Mości, że nie wiedziałem, jak powstrzymać moje oburzenie. Cesarz mówił szybko. Jednem z jego orzeczeń było następne: Sądziłem, że Francya winna mi cośkolwiek. Mówisz mi ciągle o zasadach; wasze prawo publiczne jest niezem dla mnie; nie wiem, co to jest. Czyż sądzisz, że przywiązuję jakąkolwiek wartość do wszystkich waszych pergaminów i wszystkich waszych traktatów? (Przypomniałem mu traktat, mocą którego sprzymierzeni ułożyli podział Księstwa Warszawskiego między trzy dwory). Istnieje dla mnie jedna rzecz wyższa nad wszystko; jest nią moje słowo. Dałem je i dotrzymam go. Obiecałem Saksonię królowi pruskiemu w chwili, kiedy się połączyliśmy. W. C. Mość pryrzekłaś królowi pruskiemu dziewięć do dziesięciu milionów dusz; możesz mu je dać bez zniszczenia Saksonii. (Miałem spis ziem, które można było dać Prusom bez zniszczenia Saksonii, składały się na liczbę poddanych, zaręczonych im traktatami; cesarz wziął go i zachował). Król saski jest zdrajcą. N. Panie, nazwa zdrajcy nie może być nigdy dawana królowi; zależy zresztą bardzo na tem, aby mu nie była udzielana. Być może, iż na ostatnią tę część mego zdania położyłem pewien przycisk. Po chwilim milczeniu, rzekł do mnie. Król pruski będzie królem Prus i Saksonii, jak ja będę cesarzem Rosyi i królem Polski. Uprzejmość, jaką mi Francya co do tych dwóch punktów okaże, będzie miarą ustępstw, do jakich i ja w sprawach ją interesują-

cych, okaże się gotowym. W ciągu tej rozmowy nie oddawał się cesarz, jak w pierwszej, którą z nim miałem, wielkim wzruszeniom. Był stanowczym, a okazywał pewne rozdrażnienie.“ Treść tej rozmowy charakteryzuje aż nazbyt wyraźnie stanowisko Cesarza Aleksandra i połączonych z nim nierozdzielnie Prus w dwóch najważniejszych kwestyach, zatrudniających kongresowe mocarstwa. Cesarz Aleksander pragnął zachować dla siebie Księstwo Warszawskie nie bez pewnych ustępstw terytoryalnych na rzecz Prus, którym w zamian ofiarował całą Saksonię z zamiarem przeniesienia zdetronizowanej dynastyi Wettinów nad Ren, do Kolonii, jako sukcesorki dawnych elektorów kolonńskich i trewirskich. Kombinacyi podobnej opierała się jaknajenergiczniej Francya w osobie Talleyranda, opierał się dalej nie bez pewnego wrażenia i powodzenia wobec mocarstw kongresowych sam uwieczony we Friedrichsfelde pod Berlinem król saski. Wyprawił do księcia regenta Anglii pułkownika Zeschau, którego misya nie pozostała całkiem bez skutku; prawo jego monarsze ważyło również nieco na szali postanowień zgromadzenia, które, cokolwiek bądź, obradowało pod hasłami konserwatyzmu i legitymizmu. Co najważniejsza, zaś, uważali wszyscy mniejsi monarchowie Niemiec, mianowicie królowie, bawarski i wirtemberski, książęta hescy i sascy detronizacyę królewskiego domu saskiego za zamach, wymierzony pośrednio przeciw sobie samym. Odwrócić go, zapobiedz mu, stawało się w ich oczach obowiązkiem własnego zachowania. Małe te dwory niemieckie pospieszyły przez owych reprezentantów poprzeć Francyę w jej oporze przeciw pretensyom Prus i Rosyi; zaręczyły jej pomoc; komunikowali Talleyrandowi cyfry kontyngensów, które dostarczyć gotowi do zastępu wspólnej obrony, skoroby tylko Francya zbrojnie wystąpić zechciała. Król bawarski mianowicie oświadczał się z gotowością wystawienia na ten cel poważnego zastępu 36,000 ludzi. Głównie też, jak widzimy, owa opozycya Niemiec samych dodawała reprezentantowi Francyi odwagi w jego działaniu i dawała mu prawo i podstawę niezwykle śmiałej postawy, kiedy Anglia i Austrija zachowywały chwiejną i niepewną postawę. Dobry, co więcej *wyborny* według świadectwa samego Talleyranda, *początkowo* w kwestyi polskiej lord Castlereagh, zapatrujący się na tę sprawę w całkiem podobny sposób, w jaki się na nią zapatrywał Talleyrand, okazywał się chwiejnym, zbyt koncesyjnym dla Pruss w kwestyi saskiej. Mniejsza przecież o stanowisko i zachowanie się lorda Castlereagha w tej sprawie, ponieważ interes Anglii mógł do pewnego stopnia być obojętnym dla utrzymania niezależności Saksonii, dla kombinacyi, dającej Prusom wygodną granicę w sercu Niemiec, kiedy dynastya Wettinów miała spokojnie wegetować nad Renem. Żywotniej daleko i bezpośredniej wyrażał się interes *Austrii* w obu pomienionych sprawach; wymagał głęboko obmyślanej namiętności, następnie przecież stanowczej i energicznej akcji. Nieszczęściem zbywa jednakże reprezentantowi kongresowemu monarchii habsburskiej na tych przymiotach, a świadectwo, jakie Talleyrand, widocznie nie bez prawdy faktycznej, wystawia Metternichowi, nie dowodzi, aby księżę kanclerz austriacki umiał sprostać swemu zadaniu w owej stanowczej chwili ważenia się najżywotniejszych zagadnień istnienia i przyszłości swego kraju. Wahanie się, niepewność, ostrożne krycie się za plecy innych zastępuje tu widocznie a bardzo kulawo własny i świadomy swych celów program polityczny. „Jego wystąpienie (hrabiego hanowerskiego Munster w interesie ocalenia Saksonii) wobec Cesarza Aleksandra odbyło się nie tylko z wiadomością, ale nawet na prośbę

księcia Metternieha. Nie wątpię o tem, jakkolwiek mi ani jeden, ani drugi tego nie powiedzieli. Austria przeczuwa wszelkie następstwa projektów rosyjskich, lecz nie odważając się iść naprzód, wysuwa na pierwszy plan Anglię.

Książę Metternich, jakkolwiek wogóle powodujący się polityką bojaźliwą i niepewną, ocenia przecież zbyt dobrze opinią swego kraju i interesa monarchii swej, aby pojmować, że kraje austriackie otoczone przez Prusy, Rosyę i Polskę znajdującą się całkiem w ręku tej ostatniej, będą wiecznie zagrożone i że jedna Francya może im być pomocą w tym kłopotcie.

J. N.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Biedni, obraz z życia ludu warszawskiego w 5-ciu aktach L. Świdorskiego, przedstawiony w teatrze Bellevue. — *Miodowe miesiące*, komedia w 2-ach aktach Madejskiego, przedstawiona w Nowym teatrze letnim. — *Sama*, jednoaktowa komedia E. Plouvier'a z francuskiego, przedstawiona w Nowym Teatrze Letnim. — *Sita złego na jednego*, dyalog w 1-ym akcie wierszem W. Szymanowskiego, przedstawiony w teatrze letnim.

Nizsze warstwy mieszczaństwa naszego dotychczas są pokładem społecznym mało eksploatowanym przez sztukę, chociaż dla bystrego obserwatora sondującego w tajemnych głębiach życia, przedstawiają one dużo ciekawego materiału, byle tylko umiał z niego czerpać. Dotychczas na scenie ten żywioł dostarczał wątku do pospolitej komiki, albo nawet facecji, ślizgającej się ulotnie po zewnętrznych śmiesznościach, dopiero p. Świdorski w *Biednych* wprowadził nasz dramat mieszczański na nowe tory, opierając go na podstawie głębszej prawdy życiowej. Pod względem pojęcia samego rodzaju oraz jego formy, autor poszedł drogą tradycyjną. Chceć działać na masy, uciekał się nieraz do efektów silnych melodramatycznych, upostaciował morał sztuki wyraziście i dosadnie, użył deklamacji w celach pedagogicznych. A jednak metoda jego tworzenia nie jest całkowicie metodą dramatów bulwarowych, nie polega tylko na zlepianiu jaskrawych, targających nerwy efektów z deklamacyjnym kaznodziejstwem. Ile razy autor pamięta o tradycji rodzaju, tyle razy popada w efekt zewnętrzny lub w deklamację, jednakże natura realisty przeмага w nim po większej części, zasoby obserwacji napełniają wyobraźnię, zamiast deklamacyjnym ogólnikowym lub scenicznym niespodzianek, autor ukazuje ludzi żywych, figury i sytuacje skradzione naturze. Tak więc metoda tworzenia p. Świdorskiego w tym utworze jest mieszaną: w ramach melodramu autor wstawia obrazy prawdy. Poddawszy zawartość sztuki elementarnej bodaj analizie krytycznej, przekonamy się, że ilekroć tylko autor chce wzruszać lub wypowiadać jakąś dążność, tyle razy wkracza w dziedzinę ogólnika lub zewnętrzną teatralność, ile razy zaś zapomina o tem, tyle razy jest dzielny, pełnym energii i prawdy malarzem życia. Postacie dodatnie sztuki są ulepione z gliny frazeologicznej. Stary posłaniec Marcin, prawiący kazania i jego córka Anna, mówiąca językiem książkowej uczuciowości, nie należą do figur w których płynie krew i tkwią kości. Nie jest to nie dziwnego, bo postacie dodatnie wogóle są szkopułem dla autorów dramatycznych, jeżeli nie są oparte na jakiej silnej dodatniej namietności, jeżeli autor nie umie poezyą ozłocić ich łagodnych zwykle konturów. P. Świdorski jednak w mniejszych swych obrazkach dowiódł, że umie kreślić figury sympatyczne, okraszone rodzajową barwą, a jeżeli i nadal opierać się będzie tylko na ob-

serwacyi to i w tym kierunku sprostą kapitalnym trudnościom dramato-pisarskim. Ilu razy w *Biednych* autor wkracza na grunt ściśle realny, tyle razy talent jego odzyskuje zdrowy polot i staje się twórczym w wyższym znaczeniu słowa, daje szereg doskonałych figur charakterystycznych. Główna postać sztuki Paweł Zawrzała, czeladnik szewski, jest w zasadniczych rysach trafnie pomysłany człowiek, słabego charakteru, a dobrego serca, ulega pokusom gromadki kolegów, którzy go wyzyskują i rozpajają. Gdyby autor wyczerpał wszystkie rysy tego charakteru i bardziej szczegółową przeprowadził genezę jego upadku, dałby postać skończoną. Z pomiędzy całej galerii figur najlepszym jest Obelgalski, zupełnie oryginalnie skreślona postać szubrawca, który z wyższych warstw społecznych, spodłony nałogiem, spadł w najniższe knajpiarskie nory, asztukując wódką swój bezcelny humor, prowadzi nizekzemne życie wyzyskiwacza i hulaki. Postać ta, jak się zdaje nie jest całkiem miejscowa, ale raczej napływowa, gdyż Obelgalski wieloma szczegółami okazuje, że swą knajpiarską edukację pobierał tam, gdzie „czysta“ jest bardziej w modzie, niż u nas. Oprócz Obelgalskiego, autor wskazuje nam cały szereg postaci narysowanych z mniejszą lub większą wyrazistością, ale branych z życia i opartych na obserwacji. Cała rodzina pani Flejszerowej, reszta kompanijki knajpiarskiej, wreszcie pyszna postać stróża gospodarza domu, a nawet parę podrzędnych rolek epizodowych świadczą, że autor umie nawet postacie trzecio i czwartoklasowe zakolorować barwami i odznaczyć rysami prawdy. Wątek dramatu polega na tem, że autor ukazuje upadek rzemieślnika, który poświęca życie rodzinie, pracę i ciche obowiązki dla uciech knajpiarskich, nie umie się oprzeć pokusom, upada moralnie coraz niżej, a zakosztowawszy dopiero cały szereg goryczy spodlenia i nędzy, wraca do rodzinnego domu jak do portu zbawienia. Autor snując naturalnie i prosto wątek losu bohatera, ujął z siłą prawdziwego talentu spłot dramatyczności i komizmu, uchwycił rzeczywistość uwięzioną w łez i uśmiechów, ukazał w cichym życiu wyrobniaka naszego wzruszający dramat, który polega na starciu się namietności z obowiązkiem i ukazuje strome pochyłości życia nienajętego w moralne i rozumne karby. W scenach epizodowych występuje tu także w roli apostołskiej żyd Dawid, który w akcie drugim jako uosobieniem pracy i oszczędności, gromi kufelkowych towarzyszy, w akcie zaś czwartym ratuje w ostatniej nędzy żonę Zawrzała, uwalniając ze szponów nielitościwego właściciela domu, co za komorne pragnie stradować jej cały dobytek. Ów Dawid należy także do ogólnikowych postaci, chociaż autor nadał mu parę rysów specyficznie żydowskiego zdrowego rozsądku i użył go szczególnie do wypowiedzenia ważnych moralnych intencji swej sztuki. Chociaż, ściśle biorąc, w drugim akcie bytność Dawida na Saskiej Kępie nie jest naturalną, gdyż taki poważny żyd po ogródkach się nie włóczy, jednakże bardzo w porę wypowiada on tam zasady wstrzeźliwości i oszczędności, reprezentując tym razem dodatnie strony moralno-społeczne całego swego plemienia. Rolę zbawcy w akcie czwartym Dawid odgrywa w sposób zbyt opatrnościowy, zjawia się na zawołanie, jak duch opiekun. Scena ta poczerpnięta z kroniki brukowej naszego miasta, nie dosyć jednak motywowana. Zarzucono autorowi, że zbyt skwapliwie uogólnił w sztuce jeden odrębny wypadek, ale uczynił to w celach etycznych, aby w osobie Dawida przedstawić objaw obywatelskich dążeń i poczucia solidarności żydów z resztą społeczeństwa. Pomijając wreszcie szczegółowe uwagi wyznajemy, że sztuka p. Świdorskiego nie tylko spełnia bardzo dobrze swe zadanie pedagogiczne, nie tylko wzru-

sza i zajmuje, ale posiada sumę zalet estetycznych, które jednają aktorowi szczerze uznanie głębszej krytyki. Środkowe akta są szeregiem scen wybornych, niekiedy nawet wzruszających i głębokich, ruch sceniczny postaci naturalny i żywy, co chwila szczegół jakiś świadczy o darze spostrzegawczym autora, który zapisał się stanowczo do rzędu wybitniejszych talentów dramato-pisarskich. Charakter tego utworu, przypadł dobrze do poziomu i rodzaju gry artystów trupy p. Doroszyńskiego, z pomiędzy których wyróżnili się panowie: Linkowski, Hoffman i Królikowski grą bardzo dobrze uwydatniającą wszystkie intencje autora.

Wcale szczęśliwą próbą oryginalną są także *Miodowe miesiące*, dwuaktowa komedia p. Madejskiego, napisana wytwornie po francusku i zalecająca się w pierwszym zwiastach akcie żywym ruchem sytuacyjnym. Treścią jej są drobne swary młodego stadła, które zachmurzają lekko pogodę pierwszych chwil szczęścia. Ona kapryśna i rozpieszczona, on uparty trochę i ambitny, więc się trochę drażni. Gromadka kuzynków dolewa oliwy do ognia, stosunek się zaostrza, ale dobre serce żoneczki i prawda męża, wracają pogodę. Pod względem treści sztuka ta nie posiada pierwiastków godnych głębszej uwagi. Jest to filigranowa, zgrabna robótka, nie wolna od skaz, okraszona figlarnym, wesolutkim humorem. Zapatrząc się na francuskie wzory, autor jednak nie był ślepym naśladowcą, ożywił postacie swej sztuki barwą swojskości, okraślił tu i owdzie sprytnym dowcipem. Widać tu zdolność lekką, wytworną i ruchliwą. Jak na pierwszą próbę pisarską komedia ta okazuje znaczną wprawę w technice i sceneryi. Zaslugała ona na to, aby ją przedstawić w teatrze rozmaitości, który jest tak dobrą widownią dla utworów salonowych, gdyż w teatrze letnim, pomimo wdzięcznej gry panny Wisnowskiej i dobrego wogóle wykonania, zataryły się niektóre delikatne barwy.

Niewiemy doprawdy co skłoniło p. Wacława Szymanowskiego do wyprowadzenia na scenę jednoaktowego dyalogu *Sita złego na jednego*, który drukował niegdyś w zbioru swych gawęd i satyr? W czytaniu fraszka ta przyjemnie zajmuje swym zamaszystym humorem, rytmem wiersza czysto polskim, wzorowanym w formie Pola, ale bardziej od niej jedynym i artystycznym. Na scenie zaś piękności wiersza z natury rzeczy schodzą na drugi plan (tembardziej, że wielu wybitniejszych nawet artystów nie umie u nas odpowiednio traktować poetycznej dykeji), tymczasem ujawnia się wadliwość treści, która na humoreskę była może wystarczającą, ale jak na obraz poczerpnięty z przeszłości naszej, jest pomyslaną nie dobrze. P. Szymanowski należy do konserwatystów, którzy niejednokrotnie podnosili głosy przeciw postępowej prasie, krytykującej bezwzględne apoteozowanie przeszłości. Tymczasem jednak pozwoli autor, że zmieniają się nasze role, że postępowy krytyk zapyta konserwatywnego autora: dla czego nie umiał w tej przeszłości wynaleźć rysów godniejszych uwagi? Jego wojski, który uciekając przed hałasem babskim, opuszcza swe ważne stanowisko i dąży do obozu pod Chocim, nie umie się znaleźć jak przystało na opiekuna opuszczonych kobiet w czasie bojowym, te krzykliwe niewiasty, z których jedna bardziej tchórliwsza od drugiej, mogą być względnie do epoki uważane za wyjątkowe chyba postacie, tembardziej, że kobieta polska nigdy chyba brakiem mężstwa nie grzeszyła. Autora skusił tu widocznie Fredrowski humor w kreśleniu komicznych karykatur kobiecych, jego postacie przypominają galerię z *Dam i Huzarów*, ale przecież poskromicielki synów Marsa w tej komedii, pomimo całych śmieszności, nie okazują bynajmniej takie-

go braku odwagi cywilnej. A jednak szczerzy, zamaszysty humor i rezon rycerski, jakim technicznie kilka scen „dIALOGU,” oraz czysto polskie zacięcie języka świadczą, że autor w tym rodzaju może pisać rzeczy wdzięczne i zajmujące byle tylko chciał swój artyzm formy zużytkować na treść bardziej typową i polską. Artysci, grający tę sztukę nie zawsze mieli dość zamaszystości i charakteru z wyjątkiem pani Borkowskiej i p. Rapackiego, którzy grali żywo i dziarsko.

Dla dokładności kronikarskiej wspomniemy tylko o jednoaktowej *Sama*, przedstawionej w nowym teatrze letnim, będącej bladą kopią *Fortepianu Berty* i innych bluetek opartych na tle sentymentalnym, w których małżeństwa klei się na poczekaniu, na jednym niespodzianem rendez-vous. Pomimo pewnego sprytu, robota to teatralna, szablonowa, tuzinkowa. Prześliczne jednak do tej blahostki napisał p. Tatariewicz piosenki, lekkie jak skrzydła motyle, pieszczące ucho srebrzystym wdziękiem melodyi. Szkoda tylko, że w tej sztuce wyglądają one jak perłki w tombakowej oprawie.

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 września.

Dominującym faktem politycznym minionego tygodnia był niezaprzeczenie zjazd piątkowy w Gdańsku cesarza Aleksandra III z cesarzem niemieckim. Zjazd ten nastąpił tak niespodziewanie, że pierwsza wiadomość o nim podana przez gazetę Gdańską, omal nie doznała zaprzeczenia ze strony organów rządowych niemieckich. Jak dalece zaś zależało tu widocznie na utrzymaniu tajemnicy, dowodzi fakt zarządzanego przez księcia Bismarcka śledztwa przeciw gazetce gdańskiej ze względu na popełnioną przez nią niedyskrecję. Podobno nawet wynaleziono już winnych w najbliższym otoczeniu cesarza Wilhelma i takowych pociągnięto do odpowiedzialności.

Sam zjazd gdański wywołał szereg komentarzy w prasach europejskich. O ile atoli w Niemczech tryumfowano ze zwycięstwa polityki niemieckiej o tyle z pierwszych odezwań się dzienników wiedeńskich czuć było pewien uśmiał i niezadowolnienie, podczas gdy we Francji opinia publiczna zjazdem gdańskim na dobre zaniepokojona. W Austrii uspokojono się całkowicie; tłumaczy sobie, że Niemcy nie przeciwko monarchii habsburskiej przedsięwzięć nie mogą ponieważ mimo wszelkiej rywalizacji i dynastycznych niechęci potrzebują w równej mierze Austrii, jak tej zależy może na dobrych z Berlinem stosunkach. A przedewszystkiem jeżeli zjazd gdański miał donioslejsze międzynarodowe znaczenie, wtedy bardziej uzasadnionem byłoby przekonanie, że była to demonstracja przeciwko Francji skierowana. W takim położeniu rzeczy zjazd gdański byłby niejako postawieniem możebności koalicji monarchicznych państw europejskich przeciwko republikańskiej Francji, gdzie żywioły radykalne wzmagają się szybko i widocznie. W każdym razie na teraz wszelkie przypuszczenia co do znaczenia i powodów gdańskiego zjazdu nie mają gruntownej podstawy, ponieważ nie znany jest przedmiot rozmowy monarchów, jak również i przedmiot konwersacji dyplomatycznej księcia Bismarcka z p. Giersem. Okólnik tego ostatniego do reprezentantów rosyjskich przy dworach zagranicznych nie rzuca bynajmniej nowego na zjazd gdański światła.

Tymczasem w Afryce północnej stanowisko Francji coraz więcej się komplikuje. W ostatnich czasach dwa ważne wypadki zaszły tam, a mianowicie: reprezentant francuski w Tunisie p. Rousten zawiadomił rząd swój, że bej tunetański potajemnie popiera powstanie. Na myśl tę nie trudno było wpaść oddawna wobec przechodzenia wojsk Beja całemi masami do powstania wraz z bronią i materiałem wojennym. P. Rousten przyjechał osobiście do Paryża, gdzie stara się wykazać konieczność zajęcia Tunisu przez wojska francuskie. P. Barthelemy-de Saint-Hilaire opera się temu wychodząc z najsluszniejszego punktu widzenia rzeczy, a mianowicie twierdząc, że krok ten naruszyłby stosunek Francji do mocarstw europejskich, które, jak Włochy i Anglia niechętnym patrzą okiem na rozsuwający się wpływ Francji w Afryce północnej.

Drugim faktem jest rewolucja egipska. W Kairze wybuchła rewolucja wojskowa, która zmusiła wice-króla do zmiany ministerium. Jeżeli zauważymy, że w chwili wybuchu rozruchów reprezentanci angielscy znachodzili się w pałacu wice-króla i pośredniczyli pomiędzy nim a przywódcami powstania to podejrzanie angielskiej intrygi uzasadnionem nam się wyda. Wygląda to bowiem tak, jak gdyby reprezentanci angielscy zawiadomieni byli o wszystkim i spokojnie oczekiwali na stanowisku spełnienia się dzieła przygotowanego ich ręką. Tymczasem reprezentantów francuskich rewolucja zaskoczyła niespodziewanie i nieprzygotowanych całkowicie. Przypomina nam to te czasy, gdy francuski reprezentant przy wice-królu egipskim spokojnie bawił się w Paryżu podczas gdy Anglicy zręczną intrygą wykupywali akcje sueskiego kanału.

Obecnie w prasie i dyplomacji mowa jest o zajęciu Egiptu przez wojska europejskie. Chodzi tylko o to, kto ma dokonać tej okupacji. Możliwa jest okupacja francusko-angielska, wszelako jeżeli rewolucja egipska przygotowana jest przeciwko Francji, w takim razie Angia zapragnie dokonać jej sama wyszukując stosowną chwilę zajęcia tyle pożądanego kraju Faraonów!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Postanowiono, że sprawy polityczne w państwie rosyjskiem sądzone będą od tego czasu wyłącznie przez sądy wojenne.

— Komitet statystyczny centralny porządkuje obecnie dane statystyczne co do przesiedlania się do Rosji.

— Zarządzający kolejami południowo-zachodnimi wydał okólnik do władz kolejowych, w którym przypomina wyższym urzędnikom potrzebę wpływania na robotników kolejowych, aby nie brali udziału w rozruchach przeciw żydom.

Nauki. Stacje przyrodniczo-historyczne urządzono w różnych punktach państwa rosyjskiego. Stowarzyszenie miłośników przyrodoznawstwa, w celu dokonywania badań danej okolicy pod względem antropologicznym i etnograficznym, obsługiwane będzie przez stałych ekskurantów z wykształceniem uniwersyteckiem.

— Dwa kongresy higieniczne zwołano na miesiąc wrzesień jeden w Medyolan, drugi w Wiedniu.

Szkoły i uniwersytety. Przepis co do bezzwłocznego składania opłaty szkolnej przy zapisie jest obecnie ściśle stosowany według litery prawa.

— W szkole realnej p. Diksztejna w Warszawie przy ul. Twardej Nr. 14, odbyło się w obec inspektora szkół i gości, zaproszonych uroczyste otwarcie urządzonych staraniem i za inicjatywę zarządu Stowarzyszenia subiektów hadlowych bezpłatnych kursów wieczornych dla młodzieży handlowej i rzemieślniczej.

— Komisja mieszana w Petersburgu, składająca się z przedstawicieli ministerium oświecenia, spraw we-

wewnętrznych i finansów, zajmuje się kwestyą otwarcia wydziałów medycznych na uniwersytetach petersburskim i odeskim.

— Liczba nowowstępujących do uniwersytetu petersburskiego jest w roku obecnym znacznie mniejszą niż lat poprzednich.

Przemysł i handel. Biuro zarządu kolei i wangrodzko-dąbrowskiej otwarte zostało w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej.

— Jedyna w państwie rosyjskiem fabryka kart we wsi Aleksandrowsku pod Petersburgiem zatrudnia obecnie 500 ludzi i produkuje za 1,500,000 rs. rocznie; fabrykacja ta jest monopolem domu wychowawczego.

— Ogólny dochód z telegrafów według wykazu petersburskiego zarządu telegrafów r. 1880 wynosił dotąd rs. 7,696,661, w porównaniu z r. 1879 dochód zwiększył się o 695,692 rs.

Literatura polska. W Łomży powstaje nowe pismo polskie, *Echo łomżyńskie*, pod redakcją miejscowego notariusza p. Szumańskiego.

— Wyszyły z druku: *Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki* przez J. Finkelhausa.

— *Biblioteki umiejętności prawnych* zeszyt ostatni zawiera ustawy hypoteczne i przepisy o zatwierdzaniu aktów notaryalnych, obowiązujące w Królestwie polskiem z objaśnieniami Feliksa Jezłorańskiego.

Literatura niemiecka. Frantz. *Die sociale Steuerreform als die conditio sine qua non wenn der socialen Revolution vorgebeugt werden soll*

— Gierke. *Deutsche Genossenschaftsrecht.*

— Lochnis. *Die Europäischen Colonien*, Kritik der deutschen Kolonialprojekte.

— Von Nicolaus I zu Alexander III.

— Pfizmaier. *Die japanischen Werke* aus den Sammlungen der Häser.

— Trump. *Der arabische Satzban* nach der Anschauung der arabischen Grammatiker.

— Wüstenfeld. *Geschichte der Fatimiden-Chalifen.*

— Adelman. *Schwert und Feder* (Jena).

— Hintz. *Leibesübungen* des Mittelalters.

— Heimerdinger. *Das Statlern* und seine naturgemässe Heilung auf sprachgymnastischem Wege.

— Kruse. *Die pädagogischen Meinungen* des Michel Montaigne.

Sztuki piękne. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Ejsmunta „Aby tylko w dobrym zdrowiu;“ Komara „Próba muzyczna;“ Meysnerowej „Kwiaty;“ Pane Nadziel „Widok Neapolu;“ Ruśkiewicz „Wodospad zielonego jeziora w dolinie Koperszagi w Tatrach;“ Sypniewskiego „Złamane skrzydło;“ Winklerowej „Portret Mierzwińskiego.“

Teatr. P. Astarot napisał dwie nowe sztuki dla teatrów ogrodowych warszawskich, jedna nosi tytuł „§ 994;“ druga „Alhambra.“

— W Alhambrze dano po raz 100-ty przedstawienie „Czartowskiej lawy.“

— Po raz pierwszy w Warszawie przedstawiono w teatrze Bellevue obraz sceniczny p. t. „Eidni.“

Nekrologia. Maurycy Świętochowski, syn Aleksandra i Wandy z Trzebińskich, przeżywszy lat 7, zmarł d. 14 b. m. po kilkotygodniowych ciężkich cierpieniach.

OGŁOSZENIE.

KWESTYA POLSKA W LITERATURZE ROSYJSKIEJ M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.